

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok I

Warszawa 25 grudzień 1945 — 1 styczeń 1946

Nr. 5-6

Jan Dobraczyński

PRZED WIGILIA

Boże Narodzenie. Wigilia. Myśl ludzka leci w dal ku godzinie Narodzin Tego, który „przyszedł do swej własności, a swoi Go nie przyjęli”, więc musiał się narodzić w ciemnej, kamiennej, nieprzytulnej stajni, musiał znosić tysiące niewygód, a potem zawodów i cierpień, by wbrew nędzy ludzkiej i grzechom ludzkim objawić światu swoje królestwo Prawdy, Dobra i Piękną, jedyne królestwo pośród królestw ziemi, gdzie panowanie jest miłością, a posłuszeństwo — największym szczęściem...

Wigilia. Myśl ludzka leci w tył, ku wspomnieniom lat ostatnich. Dramatyczne to były święta, te, które przeżywalimy, pełne obaw, niepewności i bólu świeżych śmierci. A przecież mimo, że pojawiały się na kanwie tragicznej rzeczywistości, nie traciły nic ze swego czarodziejskiego piękna. Może nawet z większym niż kiedykolwiek zrozumieniem przeżywalimy je. Bo stało się nam jasne jak nigdy, że prawdziwa Boskość zawiera się nie w pozorach siły, ale w pozorach słabości. Odkryliśmy, że popełnialiśmy błąd, już triumfując i już przenosząc ubogą szopkę do pałaców sztuki, czy też do jasnych, ciepłych mieszkań, gdy przecież zło nie zostało jeszcze przewalczone i czas nasz nie przestał być czasem niepewności i walki. Śmierć stała u naszych drzwi, jak i wówczas w dniach Heroda. Trzeba się było zdobyć na inną radość, wolną od bez troski, wolną od zapomnienia, a mimo to pełną i zupełną — radość ufności, że tylko On — tylko Nowonarodzony trzyma nasz los w swych rękach. Po raz pierwszy danym nam było święcić święta Bożego Narodzenia tak, jak je powinno święcić chrześcijaństwo, i może poraz pierwszy odkryliśmy, że takie dni ufności, jakie nam było danem koło wojennej choinki przeżywać, niektórzy ludzie przeżywają zawsze... Tragedia wojny ukazała nam bowiem otchłań tragedii społecznych.

Wigilia, ten symbol dnia Narodzin jest uroczystością, która skupia u jednego stołu całą rodzinę. Jakżeż tęskniliśmy, gdy właśnie w ten dzień trzeba nam było być od naszych najdroższych zdala, jak gorąco marzyliśmy o tym, aby móc za rok już być z nimi razem. Żadne inne święto chrześcijaństwa nie jest tak bardzo świętem rodzinnym. I to jest zrozumiałe: w życiu Boga — Człowieka dokonuje się ten sam proces, co i w dziejach ludzkości — proces wzrastania człowieka w coraz wyższe związki społeczne. Najprzód pierwszy i zasadniczy związek: rodzina, która dopiero gdy zostanie uświęcona węzłem sakralnym, stanie się podstawą istnienia dalszych związków: narodowego i ogólnoludzkiego. Złudzeniem jest bowiem przypuszczenie, aby mógł powstać naród, zanim rodzina nie nabierze cech trwałości i charakteru monogamii. Narodu przedtem nie było. Były tylko grupy połączone wspólnym interesem lub wspólnym niebezpieczeństwem.

Jan Dobraczyński

Przy żłobku

Wzynoszę Ci krew niewinną,
W tych, co chcieli żyć Polską —
Twoje to wojsko
Nieznanych dywizjon.
Ich ciała — szary popiół,
Wdeptany w ziemię ojczystą.

Jezus urodzony w rodzinie, opuści ją z czasem dla narodu. Ale umierając na krzyżu, umrze i narodowi, stanie się bowiem zbawcą całej ludzkości. To przechodzenie kolejnych stadiów będzie obfitowało w momenty dramatyczne. Rodzina będzie się upominała o swoje prawa. „Matka Twoja i bracia Twoi stoją przed domem, chcąc Cię zobaczyć...”. Naród wołać będzie długo za Nim, protestami „żydujących”. Słabością Piotra, nieustępliwością Jakuba. Wbrew wołaniom dokonana się jednak wielka ewolucja i wreszcie Paweł zada cios ostatecznym próbom wiązania Chrystusa z nacjonalizmem żydowskim.

Tak samo ludzkość. Gdy już rodzina została związana związkiem sakralnym, poczyną się wykształcać naród. Początkowo jest to grupa różniąca się od innej zewnętrznymi tylko odrębnościami. Potem nabiera cech organizmu — ten proces odbywa się dzięki nacjonalizmowi. Ale nacjonalizm nie wystarcza tam, gdzie naród swój własny byt nie uważa za wartość naczelną. Nacjonalizm jest tylko z a s a d a b y t u, a n i e c e l e m ż y c i a n a r o d u. Naród ten musi otrzynąć swoją sakrę — tworzy się i d e a n a r o d o w a — wyraz misji narodu w pracy dla całej ludzkości. Złudzeniem jest bowiem wierzyć, że można dla niej pracować inaczej. Konkretność uczuć ludzkich wymaga, by pracować dla ludzkości, organizując naród. Złudzeniem jest także, że można inaczej pracować dla Boga, jak realizując prawa Boże w życiu rodzinnym, narodowym, społecznym.

Lecz początkiem i fundamentem jest rodzina. Przerazająca głupota pewnych laicyzujących działaczy wyobrażała sobie, że wystarczy stworzyć święto matki i święto dziecka, na wzór święta konia i święta lasu, aby już o rodzinie mówić więcej nie mówić. Jeszcze krok dalej, a powstaje święto „niesłubnej matki żołnierza niemieckiego”, jeszcze trochę w tym kierunku, a będziemy mieli święto dziecka, które zostało zabite zanim się zdołało narodzić... Symbole mają to do siebie, że tracąc kontakt z rzeczywistością, nabierają cech prerażających. Rodzina musi mieć charakter sakramentalny — i tego właśnie wyrazem jest ro-

dzina zebrana wokół wigilijnego stołu. Ta rodzina, bez której nie ma narodu i bez której nie ma ludzkości. Niech nam nie mówią, że niepotrzebna jest rodzinie więź sakralna, bo inne narody jej nie uznają, a przecież żyją. Tak — jeszcze żyją, jeszcze żyją kapitałem przeszłości. Ale przecież wystarczy zajrzeć do statystyk, by się przekonać, że w 2.000 roku, i bez ostatniej wojny Europa, będzie w stadium wymierania. Francja, która jeszcze przed 150 laty trzęsła całą Europą, dziś jest jeszcze imperium kultury i pieniądza, lecz już nie siłą biologiczną. Anglia, która przez dwa wieki podbijała cały świat, ciężko dysząc wygrała wojnę z jedynymi Niemcami i nie byłaby jej niewątpliwie sama wygrała. Niemcy, choć młodsze od innych krajów zachodu krwią słowiańską, którą wlały w swe zwapniałe żyły, dziś bez tej krwi skazane są na szybką starość.

Rodzina jest wartością decydującą w historii narodu. Bez jej trwałości żadna organizacja społeczna zachować się nie potrafi. Młodszość biologiczna jest handicapem, który na długo nie wystarczy. Siła słowiańszczyzny nie będzie wieczna, narody i ludy starzeją się, umierają. I tylko jedno istnieje, co zdolne jest przeciwstawić się temu prawu biologicznej entropii — Łaska.

My w to nie tylko wierzymy, my to także widzimy, ale są ludzie w Polsce, którzy procesu dekadencji człowieka zdają się nie widzieć, lekarstwa Łaski nie doceniają i sądzą, że daleko posunięta swoboda urządzania osobistego swego życia przez jednostkę potrafi być zrównoważona przez — najlepszy ich zdaniem — system społeczno-polityczny.

Nie posądzamy nikogo o złą wolę. Stwierdzamy tylko z żalem, że ci ludzie rzeczy dla nas oczywistych nie widzą. Nie przestając więc przekonywać ich o naszej racji, wysuwamy sprawę rodziny jako sprawę, na którą z jakiegokolwiek strony by patrzeć, zawsze otrzymamy ten sam aspekt: rodzina musi być, musi być liczna, musi być twórczą komórką w strukturze życia państwowego.

Czy istnieją stanowiska przeciwnie? Czy może istnieć stanowisko przeciwnie?

Czy my zmniejszeni do 22 milionów, możemy sobie pozwolić na to, by w 1946 r. nie rodziło się także wcale dzieci, jak się nie rodzi w Polsce od 1943 r.?

Od 1943 wymieramy — niezależnie od strat, które nam do niedawna zadawali Niemcy. Liczba zgonów jest trwale dwukrotnie większa, niż liczba urodzin. Proszę zajrzeć do statystyk miast polskich. Obliczono, że jest nas 22 miliony. Ta liczba nie byłaby wcale tak mała, gdyby nie to, że to są j e s z c z e 22 miliony...

Nie chce mi się wierzyć, aby nie było w Polsce człowieka, do jakiegokolwiek partii należącego i jakiegokolwiek doktrynę wyznającego, któryby nie zdrzął, uświadomwszy sobie to wszystko. Chwila jest groźna. Musimy dokonać rzeczy wprost nie na miarę pokolenia, by zasiedlić wydarte hydrze niemieckiej ziemi od Warty po Odrę i Niszę. Ale czyż sprawa rodzin i dzieci nie jest funkcją tamtego zadania? Czy wcielenia ziem odzyskanych w organizm społeczny narodu dokona żołnierz z karabinem w ręku, czy też matka, pochylona nad kolyską?

Sprawa jest groźna niewątpliwie. W tysiącu zadań najpilniejszych, które trzeba dziś wykonać, jest chyba zadaniem najpilniejszym. Zacząć ją trzeba wykonując od podstaw, od zmiany stosunku do rodziny.

Już przed wojną mówiliśmy nieraz: co się robi dla rodziny? Gdzie pieniądze na utrzymanie dzieci w budżetach pracowniczych? Dlaczego dodatek rodzinny, o ile wogóle jest, zatrzymuje się przy drugim dziecku, zamiast rosnąć w postępie arytmetycznym wraz z przyjsciem na świat każdego następnego dziecka? Gdzie obowiązek ulg w komornem dla rodzin obarczonych dziećmi? Gdzie przepisy rozkazujące opiekę nad wdową lub porzuconą z dziećmi? Jak wygląda troska o efektywność pracy zmuszonej do zarabiania na swe dzieci kobiety? Gdzie tramwaje czy samochody dla dzieci szkolnych? Gdzie same książki dla dzieci? Gdzie szkoły? Gdzie?... Gdzie?...

Tak było przed wojną. Lecz sprawa nie uległa dotychczas żadnej zmianie. Rozumiemy: spraw jest tyle... Rozumiemy: czasu nie było... Rozumiemy: były i są sprawy, które nie mogą czekać...

Wszystko to rozumiemy. Nie chcemy mówić z ironicznym uśmiechem: „inni” zrobiliby to lepiej! Ale tego się nie zrobiło i to trzeba zacząć r o b i ć. Z a r a z! P r e d z e j! N a t y c h m i a s t!

Boże Narodzenie, Wigilia. Siedząc w gronie części rodziny, która cudem ocalała i czekając na przyjscie Tego, który „przyszedł do swej własności”, pomyślimy czyśmy dla naszej rodziny zrobili wszystko, a jeśli zrobiliśmy to, czyśmy zrobili wszystko dla rodziny w Polsce?

Bo przecież nie naszą tylko rodziną wyróżnia nasza Ojczyzna. Tylko nasza dzieci nie staną się Jej potęgą. Trzeba, aby było dużo rodzin i dużo dzieci w Polsce. I to jest sprawa zasadnicza.

Wróg z nich krew co do kropli wycisnął

I opluł.

Przy żłobku krew tę złożyłem.
Miej w swej pamięci:
Majdanek i Oświęcim

Daj niech wylosną siłą!

Jan Dobraczyński



Dominik Horodyński

Co się dzieje w Niemczech?

Narastające ciągle nowe problemy, nowe kłopoty i trudności wyraźnie odciągnęły uwagę i zainteresowanie społeczeństwa polskiego od sprawy Niemiec. Zmora niebezpieczeństwa niemieckiego minęła — przestajemy o tym myśleć. Objaw ten jest do pewnego stopnia niepokojący.

Plany „Wielkiej Czwórki“, okupującej Niemcy, tendencje nurtujące w społeczeństwie niemieckim, rozwój stronnictw i życia politycznego — wszystko to, co się dzieje w Niemczech — powinno być z oczywistych powodów jak najbardziej bacznie przez Polskę obserwowane.

Tymczasem w prasie brak rzeczowych informacji z terenu Niemiec. Nieliczni korespondenci przesyłają reportaże literackie, z których zorientować się można tylko co do ich własnego stanu uczuciowego — a więc Niemców nie lubią i cieszą się ze zniszczeń wojennych i słabego stanu psychicznego Niemców. Ostatecznie piszą o procesach.

A naprawdę dzieją się w Niemczech rzeczy ważniejsze — nawet znacznie ważniejsze, niż proces w Norymberdze.

Nie jestem korespondentem od spraw niemieckich, nie jeździłem po Niemczech i nie posiadam dostatecznej znajomości problemu, nie mniej wiadomości, jakie udało mi się zebrać, powinny zainteresować czytelników, bo będą, niestety, bodaj że jedynymi, jakie dotychczas się ukazały.

PIERWSZE OŚRODKI POLITYCZNE

Jeszcze podczas wojny powstały dwa niemieckie antyhitlerowskie ośrodki polityczne: „Komitet Wolnych Niemiec“ w Moskwie i t. zw. „Calpo“ w Paryżu.

„Komitet Wolnych Niemiec“ powstał w lipcu 1943. Wchodziły do niego dwa rodzaje elementów: uciekinierzy polityczni z Niemiec, którzy jeszcze przed wojną schronili się do Rosji — oraz jeńcy wojenni, przede wszystkim z VI armii zniszczonej pod Stalingradem. Przy tym Komitecie powstał „Związek Oficerów Niemców“ pod przewodnictwem gen. von Seydlitz. Do Związku tego wstąpiło do końca 1944 r. 17 na 33 generałów niemieckich, wziętych do niewoli rosyjskiej, a między innymi marsz. v. Paulus, który zresztą zgłosił swój akces późno, bo po zamachu lipcowym na Hitlera i to nawet dokładnie w dniu egzekucji marsz. v. Witzlebena a w rok po powstaniu Związku.

Do kierownictwa Komitetu Wolnych Niemiec, na którego czele stoi poeta Erich Weinert — wchodziłi ludzie odgrywający dziś tak wybitną rolę polityczną, jak spadkobierca i towarzysz Thaelmanna, generalny sekretarz niemieckiej partii komunistycznej Wilhelm Pieck, jego zastępca W. Ulbricht i W. Florian, obaj byli posłowie do Reichstagu.

2 listopada r. b. tak „Komitet Wolnych Niemiec“, jak i „Związek Oficerów Niemców“ zostały rozwiązane. Komunikat, podpisany przez Weinerta i gen. v. Seydlitz głosi, że wobec zniszczenia państwa hitlerowskiego i rozpoczęcia działalności przez demokratyczne partie polityczne na terenie Niemiec, dalsze istnienie Komitetu i Związku zostało jednogłośnie uznane przez członków za zbędne.

Pomimo rozwiązania organizmu moskiewskiego, „Calpo“ — która miała raczej teoretyczną łączność z „Komitetem Wolnych Niemiec“ — nie przetrwała swej działalności. Organizacja ta powstała z przedwojennych uciekinierów politycznych, a dołączyli do niej potem dezertery z Wehrmachtu. W czasie wojny prowadziła ona głównie akcję propagandową wśród oddziałów niemieckich, okupujących Europę Zachodnią. Wydawała ona szereg broszur podziemnych i dwa nielegalne periodyki, drukowane przyspuszczalnie w Szwajcarii „Die Wahrheit“ na Belgię, Holandię i Luxemburg i „Soldat im Westen“ na Francję. Liczyła kilka tysięcy członków.

Od chwili wejścia wojsk alianckich kierownictwo „Calpo“ bezskutecznie starało się o oficjalne uznanie i prawo opieki politycznej i wychowawczej nad jeńcami. Obecnie, poza akcją polityczną, wydaje dwutygodnik, który w sposób na pół legalny rozchodzi się po obozach.

Na czele „Calpo“ stoją: O. Niebergall, Hoppe i Luiza Schiffgens, była posłanka do Reichstagu.

SEPARATYŚCI

Ciekawa jest historia ruchów separatystycznych — na niej dokładnie widać, jak rozbieżne są interesy poszczególnych Aliantów.

Zaraz po wybuchu wojny 1939 na terenie Bawarii elementy zgrupowane w „Bayerische Volks Partei“, ruchu chrześcijańskim, centrowym o tendencja autonomistycznych i legitymistycznych, skupiły się koło osoby Schaeffera. Schaeffer — znany działacz antyhitlerowski, stworzył coś w rodzaju podziemnego ruchu bawarskiego. W pierwszych miesiącach wojny wysłał on przez Szwajcarię swoich współpracowników dr. Panholzera i L. Bergera do Francji, w celu poinformowania państw Alianckich o konspiracji bawarskiej i zbadania szans restauracji monarchii, jak i uzyskania przez Bawarię niepodległości w razie klęski Niemiec. Wysłanników Schaeffera zaskoczyła we Francji ofensywa i okupacja hitlerowska. Udało im się uniknąć poszukiwań Gestapo i nawet nawiązać przez komórki Wehrmachtu luźny kontakt z Schaefferem. Zaraz po oswojeniu Paryża Panholzer i Berger rozwinięli ożywioną działalność, starając się zainteresować Aliantów koncepcją niepodległej Bawarii. Ciesząc się poparciem rządu francuskiego, stworzyli „Komitet dla niepodległości bawarskiej“ i zaczęli wydawać własny dziennik „Das Bayerische Vaterland“. W pierwszym numerze tego pisma ogłoszono apel „wysoko postawionej osobistości bawarskiej, przebywającej za granicą“, wzywający ludność Bawarii do ruchu niepodległościowego. Tą wysoko postawioną osobistością jest Knapprütz Ruprecht, rezydujący w Watykanie.

W tym czasie Amerykanie zajęli Bawarię i stwierdzili w osobie Schaeffera nieprzejednanego antyhitlerowca, mianowali go premierem rządu prowincji. Do Schaeffera dołączyli Panholzer i Berger.

W połowie września cały ten monarchijski „rząd“ otrzymał dymisję z powodów personalno-technicznych. Francuzi twierdzą, że powody są znacznie głębsze. Mianowicie Schaeffera mianowało nie

bardzo orientujące się w zagadnieniach politycznych Military Government, którego kompetencje przeszły po pewnym czasie na amerykańskie States Department. Temu ostatniemu nie podobały się kontakty bawarczyków z Paryżem i opowiedziało się wyraźnie za centralną administracją Niemiec.

Jak wiadomo, Francja jest zdecydowanie przeciwna tej koncepcji, uważając, że prostą jej konsekwencją będzie wcześniejsza lub późniejsza odbudowa IV Rzeszy.

W każdym razie los separatystów bawarskich został przesądzony i Kronprinz Ruprecht ma wszelkie szanse na dalszy i długi pobyt w Watykanie.

Jeszcze gorzej na nieporozumieniach francusko-anglosaskich wyszli frankofile z Zagłębia Saary. Po plebiscycie 1935 r. około 10.000 Niemców antyhitlerowców schroniło się z Zagłębia do Francji. Przechodzili różne koleje losu, przebywając głównie w obozach i tylko około 5 tys. doczekało się końca wojny.

Po uwolnieniu Francji stworzyli oni „ruch dla oswojenia Saary“, z programem przyłączenia Zagłębia do Francji. Naturalnie korzystali z pełnego poparcia rządu francuskiego, który stworzył nawet specjalny batalion niemiecki „Saara“.

Wdało się w tę sprawę „Calpo“ — organizacja z przewagą komunistów i przeciwna wszelkim separatyzmom niemieckim. Gdy działacze franko-filscy z „ruchu“ przedostali się do Saary, okupowanej przez Amerykanów i rozpoczęli tam działalność, w krótkim czasie zostali przez „Calpo“ zadenuncjowani i aresztowani przez władze amerykańskie. Przy tym wpadły w ręce władz nielegalne broszury i dziennik „Saarlouis Journal“ o treści franko-filskiej. Szereg aresztowanych otrzymało wyroki do 10 lat więzienia.

Gdy w jakiś czas potem Francuzi przejęli okupację Saary — ruch separatystyczny nie podniósł już głowy.

PARTIE POLITYCZNE

Trudno jest ocenić aktualny rozwój i siłę partii politycznych w całych Niem-

zech, ponieważ w każdej strefie okupacyjnej sytuacja jest inna.

Wydaje się, że o ile po stronie anglosaskiej rozwój życia ekonomicznego jest większy i szersze swobody obywatelskie dla Niemców — o tyle po sowieckiej żywszy jest ruch polityczny. Na pierwsze miejsce wybijają się komuniści. Ciekawym objawem jest, że zyskują oni więcej adeptów po stronie anglosaskiej niż sowieckiej, choć w tej ostatniej byli przez jakiś czas jedyną dozwoloną partią polityczną.

Na czele ich stoi Wilhelm Pieck i znacznie młodszy d niego Walter Ulbricht.

Obaj przez dłuższy czas przebywali w Moskwie. Partia odgrywa decydującą rolę w administracji kraju i posiada w samym Berlinie 120.000 zarejestrowanych członków.

Komuniści wydają w Berlinie trzy dzienniki o łącznym nakładzie 710.000 egz. — są to „Taegliche Rundschau“, „Deutsche Volks Zeitung“ i „Berliner Zeitung“.

Groźnym konkurentem komunistów są socjal-demokraci. Między kierownictwami obu partii doszło do szeregu scysji. Socjal-demokraci mają w sztabie wielu starych działaczy politycznych, jak Severing, Stampfer czy Noske. Kieruje stronnictwem weteran Erich Gniffke, a największą ruchliwość wykazują dr. Schumacher i Otto Grotewohl, który jak i część z wymienionych działał konspiracyjnie w okresie hitlerizmu. Organem socjal-demokratów jest „Das Volk“. W Berlinie liczą 70.000 członków.

Trzecią wreszcie partią jest chrześcijańska-demokracja, wywodząca się z dawnego „Katholisches Zentrum“ dr. Brueininga. Jest to rodzaj konserwatywnej partii „ładu“, znajdującej wyraźne poparcie u Anglosasów. Istniejąca tylko w strefie sowieckiej partia liberalna, do której wchodzi też protestanci — jest pewnego rodzaju odpowiednikiem chrześcijańskiej-demokracji, a w każdym razie jest jej bliska. Uważają się oni za partię 20 lipca (data zamachu na Hitlera) i są kierowani przez ludzi z epoki republiki Weimaru. Prezesem jest dr. Kock — zastępca dr. Kuelz. W Berlinie wychodzi liberalny „Der Morgen“ i chrześcijański „Die Neue Zeit“.

W strefie sowieckiej działa też organizacja syndykalistyczna pod nazwą „Freie-Gewerkschaften“. Wchodzi tam przedstawiciele trzech partii — ale o prawdziwe porozumienie jest raczej trudno.

KONCEPCJE OKUPANTÓW

Niewątpliwie niepokojący jest fakt, że każdy z Aliantów posiada własną koncepcję rozwiązania sprawy niemieckiej. Plany te nie tylko są rozbieżne, ale co gorsza ulegają ciągłym zmianom. Jak wiadomo, plan Morgenthaua przewidywał całkowite odprzemysłowanie Niemiec, a projekt Summer Wellesa — sprezyrowany przed kilku laty w książce Time for decision, żądał podziału Niemiec na trzy federalistyczne państwa. W pierwszym okresie okupacji wydawało się, że Amerykanie mają zamiar plany te wprowadzić w życie. Obecnie jednak zdaje się zwyciężać koncepcja angielska, dyktowana przede wszystkim elementami natury ekonomicznej.

Anglicy uważają, że nie można pozabawić Niemców całego przemysłu, bo odbiłoby się to fatalnie na ich stanie gospodarczym i poziomie życia. Są przeciwnikami stosowania jakichkolwiek drastyczniejszych represji czy to politycznych, czy ekonomicznych. Koncepcja „bloku zachodniego“ zmusiła ich do porzucenia planu Vansittarda, korespondującego całkowicie z planem Summer Wellesa — i w tej chwili Anglicy nie popierają już żadnych odśrodkowych, federalistycznych dążeń niemieckich.

W strefie rosyjskiej zdaje się przeważać koncepcja obywatelska — głównie ekonomicznego — Niemiec, lecz nie ich rozbicia. Stąd popieranie centralistycznych ale przychylnych Sowietom uchwów politycznych.

Z „Wielkiej czwórki“ najmniejsze szanse na przeprowadzenie swoich planów ma Francja. Dowodem tego może być choćby ostatni protest de Gaulle'a. Francuzi uważają za konieczne rozbicie

Aleksander Rymkiewicz

M Ł O D O Ś Ć

ŻONIE

To jest daleki kraj, to bardzo daleki kraj — i czy w mieście wielkim nade mną chwiały się kasztany, czy na mokrej łące koło srebrnego stogu słucham lotu kaczek, tam zostałem daleki, tam zostałem sam sobie nienazwany.

To jest daleki kraj, to bardzo daleki kraj i aby do niego dojść, trzeba zawrócić i iść wstecz i wstecz i słuchać, gdy łoskotami ziemię wiatr przewiewa — i tak idąc wstecz i wstecz wśród krwawych widzieć cieni, jak trzęsie się aż od korzeni latem bez liści drzewo.

To jest daleki kraj i aby do niego wrócić, musiałaby taka droga być, po której śniegi powrotu śnieżą i tym, o których piosenka przewiała dawno i tym, którzy śmiercią zginęli niesławna i tamtym, co w chwale na obcej ziemi leżą.

To jest daleki kraj i aby do niego wrócić, trzeba znaleźć bór nienazwany, bór północą kołysany, a w nim rość jedyną, co zmyłaby na czołe wszystkie zmarszczki sine, które dzień za dniem, noc za nocą ręka ciężkich lat wykuła.

Dziś aby wrócić do tamtego kraju, musiałaby przyjaźń zostać w pokoju wysokiej kamienicy, ta przyjaźń, która poszła gdzieś w samotną stronę, musiałbym znowu mówić do nieopatrnych słuchaczy o czynach wielkich, którymi młode głowy płoną, a dalszy ciąg tej powieści niech sami poznają, gdy ich to życie w bezlitosnym wojny zgiełku wśród wielkich miast i obcych ludzi goryczą naznaczy.

To jest daleki kraj, a w nim zawsze jedno drzewo bywa i tam porzucona jakaś chwila nieżywa, przestraszona, w ogrodzie księżycem zalany, czy słów nieopatrnych bzom i wodzie szeptanym, czy tego, że ktoś kogoś kochał tam zbyt pięknie. — I tylko mądrość niezawodna pozostało lipie, że na ślady nóg naszych zapomnieniem sypie.

ko najtwardsi i najdzielniejsi bojownicy ruchu oporu, mimo faktów, że działalność ich zaczęła się dopiero po 22 czerwca 1941 r. Nigdy nie sprzeczą się między sobą i zawsze mają odpowiedź na każdą trudność. W rzeczywistości, gdyby sądzić ich tylko z ich programu, to byłoby trudno stwierdzić, dlaczego wszyscy w Europie nie mieliby głosować za komunistami, wydaje się, że oni obiecują to wszystko, na co każdy czeka. I tak, ludzie chcą z tego, co obiecują komuniści, ale chcą tego nie na komunistyczny sposób. Ludzie nie chcą, by stosowano do nich tę samą bezwzględność, której komuniści używali przeciw Niemcom: nie chcą być kierowani, gdyż mają dość tego z niemieckich czasów. Podziwiają komunistów dla ich energii, ale nie wierzą im za ich oportunistów, za ich gotowość do zmiany polityki partyjnej w właściwym momencie. Niewielu ludzi w Europie domaga się wolności dla kollaborantów i faszystów, dla wielkich posiadaczy ziemskich i międzynarodowych bankierów, ale ludzie chcą wolności dla siebie, chcą silnego rządu, któryby kierował ekonomicznym życiem — ale chcą też mieć możliwość przeciwstawiania mu się.

Chcieliby, aby państwo dbało o dobro poszczególnych istot ludzkich, a nie żeby jednostka musiała działać z nakazu dla dobra państwa. Innymi słowy, ludzie chcą socjalizmu, ale domagają się także Praw Człowieka. Partia Agrarna, albo Chrześcijańsko - Demokratyczna jest często umieszczana na przeciwległym komunistom froncie skali politycznej i uważana za najbardziej prawe skrzydło, jak to tylko jest możliwe przy rządach lewicowej partii. Jest to tylko w nieznanym stopniu prawdziwe. Ma ona oczywiście pewne poparcie od poprzednich członków prawicy, którzy uważają ją za najmniej niebezpieczną w partii ruchu oporu, ale przecież nawet partia komunistyczna jest także przytułkiem dla dawnych kollaborantów. Ale Partia Agrarna, czy Chrześcijańsko - Demokratyczna, czy jak się tam ona w poszczególnych krajach nazywa, nie posiada prawnicowego oblicza. Cieszy się poparciem chłopów i ob staje za prywatną własnością drobnego rolnika. Nienawidzi jednak wielkich majątków może nawet w większym stopniu, niż socjaliści i komuniści, a także ma chłopską podejrzliwość wobec miast i kapitalistów. W rzeczywistości nie ma punktów sprzecznych z innymi w zakresie nacjonalizacji. Linia dzielącą jest nie społeczna linia, lecz religijna: jest ona mianowicie partią rzymsko-katolicką i kwitnie jedynie w krajach katolickich — a przede wszystkim we Włoszech i Polsce. Rzymsko-katolicka partia lewicowa jest w Europie czymś nowym i bardzo sensacyjnym. Jak dotąd Kościół Rzymski faworyzował prawnicowe dyktatury — Dolfussa i Schuschnigga w Austrii, Salazara w Portugalii, Franco w Hiszpanii. Obecnie, wogóle po raz pierwszy w nowoczesnej historii, zapowiada się, że pójdzie po demokratycznej rzeczywistości rewolucyjnej linii. Zamiast domagać się dla siebie uprzywilejowanej pozycji, Kościół Rzymski zaczyna bronić tolerancji dla wszystkich: próbuje pojednać się z tym, co było dotąd uważane na całym kontynencie za antyklerykalną, ateistyczną doktrynę — z zasadą wolności i Praw Człowieka.

To jest punkt, do którego powróciłem w rozważaniu spraw komunistów i politycznych katolików. Obie odbiegają od doktryn totalitarnych, obie głoszą wyłączenie natchnienia (w reformowaniu świata), ale kiedy szukają oparcia w masach, muszą uznać, że większość Europejczyków chce swobody osobistej, nie tylko wolności, ale wolności tak, jak i socjalizmu. Czy można osiągnąć swobodę bez kapitalizmu? Czy można pogodzić ekonomiczny kolektywizm i intelektualny indywidualizm? Oto jest zagadnienie podstawowe europejskiej rewolucji. Jeśli chodzi o mnie, to nawet jeżeli nie ufam niczemu, to wierzę w to, że kontynent, który był kolebką Rousseau i Marxa, który stworzył Deklarację Praw Człowieka i Manifest Komunistyczny, gdzie odpowiedź na zagadnienie naszych czasów.

L. W.

Wanda Bacewiczówna

O F I A R A

Opowiadanie niniejsze powstało na podstawie notatek, pozostawionych przez więźnia obozów hitlerowskich, Pawła R., zmarłego w maju 1945 r. w jednym ze szpitali podwarszawskich.

Ilekcio unosił głowę wraz z całym tułowiem, aby w następnej chwili pochylić się znowu i uderzyć kilofem o głaz, widziałem, jak żyły nabrzmiewały mu z wysiłku na czole i na obnażonej szyi grube jak postronki. Lecz twarz jego pozostawała spokojna, niewzruszona. Z pod jego szeroko rozstawionych nóg biegnęły w przepaść, ponad którą pracowaliśmy, odpryski drobnych kamyków, szmerząc jak potok.

Wciąż zastanawiam się nad tym, jakim sposobem mogłem wówczas chwycić jeszcze te wszystkie drobniaczki, skoro szum krwi uderzającej mi do głowy bezustannie mącił mi wzrok, rzucając przed oczy różnobarwne plamy, doprowadzające mnie chwilami do szaleństwa.

Twarz jego złana potem migała mi niezmienne co kilkanaście sekund i co kilkanaście sekund słyszałem tuż nad uchem huk jego kilofa. Starałem się dostosować do jego równomiernych ruchów, aby go więcej nie widzieć i nie słyszeć, lecz po dwóch, trzech uderzeniach wypadałem z rytmu i znów migały mi jego zacienione usta i błyszczące czoło.

Sam nie wiem, czemu nienawidziłem tego człowieka. Nienawidziłem go bardziej nawet niż katów, którzy nas dozorowali. Może zazdrościłem mu siły, z jaką znosił to wszystko? Może wstyd mi było, że jest świadkiem załamania, które odbywały się we mnie? Bo choć nie spoglądał na mnie nigdy, czułem, że wie o mnie wszystko. Ja zaś nie wiedziałem o nim nic. Maska opanowania zakrywała go całkowicie przede mną. Nie rozmawialiśmy też ze sobą nigdy, choć uparcie pędzono nas do wspólnej roboty.

Pierwszy raz odkryłem coś z niego pewnej nocy, nocy brzemiennej w wydaniu. O samej północy, gdy spoczywaliśmy na swych pryczach, przyprowadzono do naszego baraku nową partię więźniów. Przedstawiali oni okropny widok. Przybyli tu widocznie bezpośrednio po badaniu, gdyż wszyscy posiniaczeni byli w najohydniejszy sposób, a kilku z nich krwawiło nawet. Nie mogliśmy wydobyć z nich ani słowa, wciąż wietrzyli wkłóło siebie zasadzkę. Byli to przeważnie Polacy, kilku tylko Czechów i Słowaków.

Roman Bratny

M I Ł O Ś C I

Gdy szcujesz mnie gwiazdami przez drogę moją grodzoną ciemnością — to biegnę, Boże, zwierzak mały z garbem głowy na barkach zdrowych ku swym głupim, ku ziemskim miłościom.

Gdy do nich mówię — na powietrzu zostają ślady jakbym gubił swe wargi ciężkie, czy żelazne, niby podkowę w drogi kurzu.

To tędy wrócę, po tych śladach swych słów daremnych, które dałem miłościom ziemskim — i tu zadrzę, gdy potknę się na słowie swoim, tak obcym gwiazdom, z których patrzysz.

Lamsdorf, 21.11.44 r.

O Ł T A R Z

Gdzie jest kładka jaskółczych skrzydeł ponad ziemi powieką ciężką — tam spojrzenie jest Twoje. Często świat jak olbrzym pijany chwycił kościół pięścią, gdzieś na wzgórzu cień Twój ulotny. Sosen gest chwycił Cię bliżej — ale deski przyczyn najprostszej, w której kurzu głowa ma kłęczy i poznaje żywy woń — jak: gdyby pot zastygł nieładzi — kiedy człowiek szukał tu Boga swego kraju

— proste deski izby więziennej były Ci bliższe. Lada drzazga niesheblowana więcej miała boskości w sobie niżli ołtarz.

Lamsdorf, 23.10.44 r.

(przedruk z „Nowej Polski“)

Rozłożyli się pokotem na ziemi, nie pragnąc niczego, jedynie ciszy i spokoju. Tu wreszcie kończyła się ich droga, tu spodziewali się odpocząć. Nie zdawali sobie prawdopodobnie sprawy z tego, czym jest pobyt w karnym obozie, czym jest praca w kamieniołomach. Jakby przygrywką do czekających ich tu przeżyć było to, co zdarzyło się w kilka godzin później — wśród głębokiej nocy. Spaliśmy już wszyscy, gdy nagle zbudził nas huk kilku wystrzałów karabinowych i przeraźliwy krzyk. Krzyk ten ostry i natężony, przechodzący stopniowo w jakiś nieludzki skowyt, wyrażał tyle męki, że zaparł nam dech w piersiach. Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi, gotowi w każdej chwili do apelu. — Jeżeli znów ktoś usiłował wyostać się z obozu, nie ominie nas straszliwa kara. — Serce łomotało mi gwałtownie. — Może dziś już na mnie kolej? Ileż to razy byliśmy świadkami masowego torturowania i traceniamy więźniów w odwet za czyjkolwiek próbę ucieczki. Nie omieszkałoby uprzedzić naszych nowych współtowarzyszy niedoli o grożącym nam niebezpieczeństwie i już razem z nimi nasłuchiwalibyśmy przerażeni odgłosów z zewnątrz. Lecz o dziwo przejmujący skowyt odbił się tylko echem o pobliskie skały i wsiągnął w nocną ciszę, nie puszczając w ruch obozowego aparatu alarmowego. Mimo to do samego świtu czuwalibyśmy prawie wszyscy, nie mogąc już zmużyć oka.

Wtedy to niespodziewanie usłyszałem ten jego dziwny, zgorączkowany głos, który wprowadził mnie w zdumienie.

— Nie, nie, to niemożliwe, Ewo, to nie może być.

Zazwyczaj mowa jego była powolna i zdławiona — każde słowo wydobywał ze siebie z niesłychanym zda się trudem. I to właśnie drażniło mnie w nim najbardziej. Co prawda odzywał się bardzo rzadko i z tego powodu przezywaliśmy go nawet „mrukiem“, lecz tych kilka słów, które wypowiadał od czasu do czasu, wystarczyło, abym go sobie zbrzydził ostatecznie. — Czemu nie mówił jak wszyscy, o wszystkim, czemu nie potrafił zbratać się z nami — wiecznie skupiony i odosobniony, wyższy ponad nasze obozowe zmartwienia?

— Nie, nie, to niemożliwe, Ewo, tak nie może być. — Dotąd słyszę te drżące, żarliwe słowa. W pierwszym momencie nie chciało mi się wierzyć, że wyszły one

z tych jego ściśniętych, niemych zwykle ust. Zrozumiałem to dopiero wówczas, gdy pochyliłem się nad jego pryczą i ujrzałem, że śpi. — Tak, to mogło mu się zdarzyć tylko we śnie. Przez chwilę przyglądałem mu się z pewną satysfakcją. Rysy jego stwardniałe na codzień — widać pod nakazem woli — były w tym momencie całkowicie rozprężone. Powieki drgały mu nerwowo, a usta odemknęte nieco skrzywiły się boleśnie. Wyrzucił ze siebie jeszcze kilka urwanych słów, których sensu nie mogłem, niestety, uchwycić.

A więc jednak i on był człowiekiem takim, jak my i jemu były dostępne ludzkie słabości i tęsknoty. — Wraz z tym odkryciem przyszła litość, litość dla jego silnej woli, która przecież nie potrafiła go ukryć przed moją ciekawością.

Odtąd nauczyłem się patrzeć na niego zupełnie inaczej i to przyglądanie mu się z boku pochłaniało mnie bardzo. Po wiem nawet, że odrywało mnie ono poniekąd od mych dolegliwości fizycznych, dając mi lepsze samopoczucie. Zaprażyłem dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów z jego życia. Lecz nie słyszano tu o nim nic ponad to, że był przyłapany „na robocie“ (na jakiej, nikt nie potrafił bliżej określić) i mimo piekła, które przeszedł w warszawskich podziemiach Gestapo, nie wyspał nikogo. W kamieniołomach siedział już 3 lata i w ciągu całego tego okresu otrzymał tylko 2 listy. Przyszło ich może i więcej, lecz wiedzieli o tym jedynie obozowi SS-mani, którzy w czach więźniów z cynizmem rzucali w ogień całą ich korespondencję, karząc w ten sposób znieawidzonych „bandytów“ za ich hardość.

Kim była owa Ewa, z którą tak gorączkowo rozmawiał we śnie? Czy o niej myślał, gdy leżąc na swej pryczy niewidzącymi oczami wpatrywał się w sufit? Czy dla niej odgrodził się pogardliwie od nas wszystkich? Czy dla niej wreszcie z taką zaciętością znosił wszystkie obozowe udręki?

Gdy odbywaliśmy zbiorowe kary, on jeden dumnie wytrzymywał je do ostatka. Podczas największego mrozu mógł przeszo godzinę stać z rękami uniesionymi do góry; w największy upał bez końca przetaczał olbrzymie głazy z jednego końca podwórza w drugi, podczas gdy inni padali już po kilkunastu minutach. Ta jego wytrzymałość drażniła naszych oprawców, to też często znęcali się nad nim, chcąc ugiąć mu karku. Lecz nawet wówczas, gdy otrzymywał okrutne razy, które rzucały go na ziemię, zachowywał się tak, jakby był nieobecny, jakby to wcale jego nie dotyczyło. Zauważyłem, że dozorczy nabrali dla niego z czasem szacunku. W szacunku tym kryło się prawdopodobnie coś z trwogi przed ukrytą w nim siłą, która mogła przecież kiedyś wybuchnąć w niespodziewanym momencie.

A właśnie zaczęły dobiegać już i do nas pierwsze wieści o niemieckich porażkach, którym jednak nie dawaliśmy początkowo wiary, broniąc się przed nowym rozczarowaniem. Dosyć go już mieliśmy przez cały okres wojny. Zresztą niejednym z nas przestał już wierzyć w koniec naszej męki.

Jak już wspominałem, nauczyłem się patrzeć na niego inaczej niż dotąd — poprzez jego maskę. Gdy przy robocie twarz jego migała mi przed oczami, starałem się uchwycić jej właściwy wyraz i wielokrotnie udawało mi się dostrzec nieuchwytną na pierwszy rzut oka grę jego kamiennych na pozór rysów. Były to zresztą bardzo drobne drgania i błyski, którym nie należało może przypisywać jakiegokolwiek wagi. Lecz moja wyobraźnia chętnie wietrzyła w nich utajone przeżycia tego człowieka. Nagłe ściągnięcie brwi, ruchy szczęk widoczne pod skórą na skutek gwałtownego zaciskania zębów, to znów niespodziewane promienie w szarych oczach i drganie nozdrzy, jak przy hamowaniu wruszeniu. Dopiero teraz objawił mi się jako człowiek zupełnie jeszcze młody. Dotąd miałem go za dziwadło wieku nieokreślonego. Zrozumiałem, że ta nieokreśloność.

żołnierze niemieccy stanawszy w wspólniejszej formie nad Kanałem — stanęli bezradnie, nadaremno szpilując morskie powietrze łaknącymi spojrzzeniami. Bóg oszczędził niemieckim wodzom geniusza improwizacji. Bezbronne wyspy uparcie tkwiły wśród fal — nie myśląc o kapitulacji. Sztab niemiecki zaczął gorączkowo pracować, lecz floty zaimprovizować nie sposób, a bez floty nie sposób opanować wysp brytyjskich. Piaskodenne łodzie pamiętnej nocy z 7 na 8 września zdały egzamin z wynikiem — dla jednych tragicznie — dla drugich krzepiąco — niedostatecznym. Samoloty Luftwaffy osiągnęły w pogodną niedzielę 15 września wynik podobny.

Stalingrad był drugim cudem tej wojny. Pierwszym cudem była Marna drugiej wojny światowej — bitwa o Kanał, tak nieoczekiwaną, dla wpatrzonego uparcie w swoje majaki, Hitlera i jego sztabu.

Last but not least — Hitler świat dzielił na dwie części. Jedną — to naród niemiecki, wedle fűehrera obdarzony od Boga wszelkimi zaletami, wśród których poczesne miejsce zajmuje patriotyzm, gorące umiłowanie ojczyzny, bezgraniczne poświęcenie się dla własnego narodu, duma z przynależności doń, gorliwa uczciwość, szlachetność i idealizm etc. etc. Część drugą natomiast stanowiła cała reszta narodów globu — nie wyłączając nawet t. zw. sprzymierzeńców. Tym Hitler odmawiał wszelkich cech, które są decydujące dla istnienia jakiegokolwiek narodu, a więc w pierwszym rzędzie zapoznawał istnienie poczucia narodowego u tych narodów, ich dumy narodowej, ich patriotyzmu. Był przekonany — i wszelkie jego posunięcia w tym przekonaniu brały swe źródło, — że inne narody są tylko przypadkowymi zlepkami ludzi interesu, których dowolnie można kupować za wysokie kwoty, ludzi można obietnicami, straszyc i zmuszać do uległości groźbami. Nie pojmował on, że narody są pewnymi jednolitymi całościami, dziś już naogół kompletnie ukształtowanymi, że są one ożywione gorącym naogół patriotyzmem, związane mocnymi więzami poczucia narodowego, że odznaczają się pewnym indywidualnym charakterem. Narody, europejskie zwłaszcza, są jednolitymi organizmami, których odrębności zapoznawać nie wolno, których godność gwałcić jest niebezpiecznie. To się mści. Hitler o tym prostu nie wiedział. A różni sprzedajni Seyss-Inquar'ci, Hachaty Quisling'i i Laval'e, których generalizował, utwierdzali go w mniemaniu, iż narody świata, poza Niemcami, to szmaty, na których można bezkarnie eksersować hitlerowskie zachcianki.

Si par a comparere licet magna — to przed laty 130 był w Europie człowiek, któremu wydawało się, iż narody kontynentu są bezwolnymi pionkami na jego cesarskiej szachownicy, pionkami, którymi mógł bezkarnie igrać. Hiszpanie pierwsi pokazali kły swego narodu — i od Hiszpanii zaczął się jego upadek. Zaczął się w Hiszpanii, rowinął w Rosji, spełnił w Paryżu. Na bezwolności i bezwartościowości ludów kontynentu naszego swój gmach budował Hitler. I dlatego ten jego gmach zawalił się, przywalając twórcę. Po raz pierwszy napotkał on opór w naszym narodzie, po raz drugi nie potrafił znaleźć zdrójcy na Wyspach Brytyjskich. Swym postępowaniem zraził sobie całą Europę — nawet narody sobie politycznie sprzymierzone. Klęskę Hitlera zapoczątkowała Warszawa 1939, zakończył Berlin 1945. Polska odegrała dawną rolę Hiszpanii.

Anglia i Rosja pozostały natomiast w swoich rolach. I jak przed laty stu trzydziestu — tak i teraz będą zabudowywać na nowo europejski szmat ziemi. Napoleon na gwałcie narodów, na zapoznawaniu ich indywidualnej woli — nie zbudował swej oryginalnie pojętej P. Europy. Kongres Wiedeński w tym względzie był kontynuatorem w pewnym stopniu błędów cesarza. Nad słabymi materialnie narodami przechodził do porządku dziennego, prawa ich kwitując pięknymi acz bezczelnymi frazesami.

Hitler na gwałcie narodów, na zapoznawaniu ich indywidualnej woli — nie zbudował swej oryginalnie pojętej „Nowej Europy“.

Trzeba z przeszłości i doświadczeń niesławnego wodza wreszcie wysnuć naukę, kując ją złotymi głoskami nad wrotami sali obrad nowego kongresu pokojowego: — indywidualności narodów nie

wolno zapominać, praw narodów nie wolno gwałcić, honoru narodów nie wolno bezcześcić, a ich godności urągać. I to wielkich jak i małych. Inaczej — dom budować będziemy na wulkanie. Inaczej

— w kwietniu 2040 roku w Paryżu nowy Rauschning wyda książkę pod tytułem „Hitler ma dit“.

Kazimierz Koźniewski

Europejska rewolucja

Pod tym tytułem zamieszcza angielski tygodnik „The Listener“ interesujący artykuł pióra A. J. P. Taylora. Obszerne fragmenty artykułu podajemy, jako dowód zainteresowania i doceniania przez brytyjskiego publicystę europejskich ruchów społecznych, budujących przyszłość Europy na radykalizmie lewicowym, niezależnie od wyznawanych światopoglądów.

Red.

„Będę mówił o Europie i próbowałem zbadać co myślą jej ludy, jak to zstało doświadczone w wyborach, które miały miejsce, mają miejsce, albo będą wkrótce miały miejsce w całej Europie. Zapominamy być może, jak wiele na świecie nie jest kontrolowane przez Wielkie Mocarstwa, a także jak wielu ludzi ma swoją własną wolę. Odnosi się to zwłaszcza do Europy, kolebki i serca naszej nowoczesnej cywilizacji, kolebki uszanowania dla jednostki, kolebki wiedzy i industrializmu.

Właściwie nikt z Wielkiej Trójki nie należy do europejskiego kontynentu. Nawet z Wielkiej Piątki jedynie Francja jest europejska, a i to najuboższa w zasoby materialne. Otóż między oceanem Atlantyckim i granicami Związku Radzieckiego żyje około 290 milionów ludzi, a więc dwa razy tyle, ile ludności liczą Stany Zjednoczone. Można też powiedzieć jeżeli się nie uwzględni Niemców i neutralnych, którzy przeciętą w innej sytuacji, że będziemy mieli do czynienia z 200 milionami ludzi — co stanowi więcej niż cała ludność Związku Radzieckiego. Jest to porządny kawał świata, nawet na stosunki XX wieku — zdezorganizowany i chaotyczny w tej chwili, ustępujący zasobami gospodarczymi tylko Stanom Zjednoczonym, a nikomu nie ustępujący dojrzałością polityczną.

Stanisław Ziembicki

Litania wojenna

Zanim mu salwą strzelą drzewa,
drewnianą stopą stając na nim
i klęknie przy nim krzak modrzewia
w ziemię głęboką, bo z niej są —
Chryste elejson — módl się za nim,
Kyrie elejson.

Arko przymierza, a gdy pocisk
spocznie na sercu, owad zły,
jak kosmyk świecy biała łodzi,
jak dziecku łódka papierowa,
w zmarłą na lufie dłoń żołnierza
Arko przymierza, spłyną.

Bramo niebieska, gdzie puchowy
cherubin uspił swoją dłoń,
na nasze sprawy kładąc wszystkie,
uciekających się do Ciebie
z ulic, z przystanków tramwajowych.
przed butem, kolbą i pociskiem
Bramo niebieska, chroń.

Domie nasz złoty, gdy wysiedlą
z życia, jak miasto, z domu w nim,
na jedną wieczną noc nas przytul,
w emaliowany i dziecinny
pokój, nad pięścią się ulituj —
zwróć jej zabawkę z plasteliny,
a potem w pościel z malachitu
Domie nasz złoty, przytul, przyjm

A gdy poniosą chłopcy znowu
dębowe stopy, ramion cepy,
pod łuki, łuny i ołowiu,
na ziemię smagłą, bo z niej są —
daj więcej, daj lepiej —
Kyrie elejson, Chryste elejson,
Kyrie elejson.

Warszawa, listopad 1943

Europa już nie będzie włączyć światem, jak to miało miejsce w XIX wieku, ale przez długi czas będzie jeszcze najważniejszym z kontynentów. Oraz — nie można tego pominąć — mimo tego faktu, że narody Europy zostały oswobodzone przez Wielkie Mocarstwa i że zależą one od nich w zakresie natchmiastowej pomocy, chcą być niezależne, a nie stać się czymikolwiek satelitami. Przyzwyczajaliśmy się nakreślać linie poprzez Europę i dzielić ją na dwie strefy: rosyjską i anglosaską. Jest to przyzwyczajenie, które może być pokonane: państwa europejskie mają znacznie więcej wspólnego — myśląc politycznie — ze sobą, niż z Wielką Brytanią lub Rosją, i nie mają one praktycznie nic wspólnego z Ameryką. Polska i Jugosławia podobne są obecnie znacznie bardziej do Francji niż do Rosji; Francja jest teraz podobniejsza do Polski, albo do Jugosławii, niż do naszego kraju. Państwa europejskie mają bowiem za sobą doświadczenie klęski, zadanej im przez Niemców i doświadczenie totalnej okupacji, czego niema ani Wielka Brytania, ani Rosja. I my i Rosjanie mieliśmy ciężkie okresy w tej wojnie, ale nasze rządy nie zostały obalone: my nie mamy problemu kollaboracjonistów i nasz system rządzenia — nie koniecznie system rządzenia poszczególnego rządu, ale nasze zwyczaje polityczne — przebrnęły przez te czasy, ciesząc się niewzruszonym zaufaniem“.

Następnie autor porównuje przebieg wyborów w Anglii do zapowiedzianych na nadchodzący luty wyborów powszechnych w Związku Radzieckim i pisze dalej: „Państwa europejskie są zupełnie inne: było tam mało wiary w formy rządów także przed 1939 r. Wiele z nich, jak np. Grecja i Jugosławia, były dyktaturami, albo podyktaturami, prowadzonymi przez policję polityczną. Nawet we Francji demokracja była niepewna i lek-

ceważona. Klęska wykończyła je wszystkie zupełnie i teraz niema już dla nich powrotu. Jedynie w Norwegii i Danii miała miejsce całkowita restauracja — powrót do dawnego porządku politycznego. Naród był tam bardzo zadowolony ze swej formy rządu i uznał, że rządy ich nie mogły niczego przedsięwziąć dla zapobieżenia niemieckiej inwazji. Duńczycy i Norwedzy są zadowoleni z powrotu demokracji, którą utracili i to, co powiem, nie odnosi się do nich, gdyż są oni właściwie tak, jak my, poza Europą.

Wszędzie indziej oswobodzenie przerodziło się w coś na kształt rewolucji — wszędzie, to zn. ze wyjątkiem C. j., gdzie my temu zapobiegliśmy i być może także w Holandii — przerodziło się w rewolucję początkowo przeciwko kollaboracjonistom, którzy z ramienia Niemców władali tymi krajami, a także w rewolucję przeciwko formie rządzenia, która istniała przed przybyciem Niemców“. Z kolei autor omawia warunki poszczególnych wyborów, pisząc, że przykład Węgier jest nieistotny, ponieważ „... Węgry współdziałały dobrowolnie z Niemcami dla ich własnych celów, a następnie opuściły Niemców dla swoich własnych celów, kiedy tylko roztropność nakazywała to uczynić“. W związku z tym nie ma, według autora, skali porównania Węgier z krajami oswobodzonymi, ponieważ „... wybory w Europie nie dają możliwości wyboru między kollaboracjonistami i członkami ruchu oporu, czy nawet między tymi, którzy należeli do oporu, a większością, która była bezczynna — lecz dają wybór jedynie między poszczególnymi partiami ruchu oporu. Pociągnęło to za sobą zasadniczy wynik polityczny: w całej Europie prawica przestała istnieć jako zorganizowana siła polityczna, za wyjątkiem Grecji, gdzie utrzymuje się ona dalej pod naszą opieką. W żadnym z krajów oswobodzonych nie ma partii, która opowiedziałaby się za kapitalizmem. Prywatne przedsiębiorstwa, prywatny zysk, prywatna własność ziemiska na wielką skalę są sprawami, które nie znajdują obrońców. Oznaki systemu kapitalistycznego w Europie są jeszcze widoczne zanim coś nowego nie wejdzie na ich miejsce i dlatego my nie zdajemy sobie jeszcze całkowicie sprawy z ogromu nadchodzących zmian ekonomicznych. Jednak, o ile nie będzie kontrrewolucji, wydaje się, że upaństwowienie przemysłu i państwowa kontrola handlu zagranicznego będzie już wkrótce powszechna w całej Europie. Nikt w Europie nie wierzy w amerykański sposób życia, to znaczy w prywatne przedsiębiorstwa, lub raczej ci, którzy w nie wierzą, są w pokonanej partii, która, jak się wydaje, nie ma większej przyszłości przed sobą, niż jakobici w Anglii po 1688 r.

Nie oznacza to, że siły, które zajęły ich miejsce, są całkowicie zgodne lub zjednoczone. Ruch oporu był koalicją, a teraz partie tej koalicji konkurują między sobą. Każdy kraj europejski — i to właśnie pokazuje jedność Europy — posiada to samo polityczne oblicze, podzielone na trzy partie: komunistyczną, socjalistyczną oraz na partię, która czasami nosi nazwę Agrarnej, czasami Chrześcijańsko-Demokratycznej lub drobnych posiadaczy, a we Francji tylko Republikańskiego Ruchu Ludowego — w każdym kraju inna nazwa, ale ten sam charakter. Socjalistów znamy, ale dwie pozostałe partie są poza naszym doświadczeniem. Rozważmy je dokładnie. Jest wielkim błędem naszego dziennikarstwa politycznego i naszych politycznych obserwatorów — że nigdy nie mieliśmy dokładnego zjawienia o tym, czego żądają komuniści w Europie i jaka jest ich działalność, a przecież są oni partią popieraną przez miliony. Komuniści zdobyli wielki prestiż ja-

Jedności Rzeszy. Są zwolennikami koncepcji federalnej, twierdząc, że znajduje ona usprawiedliwienie w istniejących w łonie Rzeszy ruchach separatystycznych, które wystarczy poprostu popierać. Przypominają ciągle, że Niemcy istnieją w formie scalonej dopiero od 1871 r., a właściwie naprawdę potrafił ich zjednoczyć Hitler. Nie wydaje się, aby te argumenty miały przekonać decydujących partnerów. W każdym razie Francja zdecydowana jest walczyć przeciw centralnej

administracji Rzeszy i domagać się odłączenia od Niemiec Nadrenii i Rury i oddania tych ziem pod kontrolę międzynarodową. Na tym odcinku spotyka się z poparciem Zw. Radzieckiego.

WNIOSKI.

Jak widać z tych fragmentarycznych informacji sytuacja w Niemczech jest więcej niż skomplikowana. Różnice poglądów między Aliantami ułatwiają organizacjom niemieckim ich działalność i partie polityczne są niepokojąco ru-

chliwe. Podobnie jak we Francji, Włoszech czy Austrii zasadniczych stronnictw jest tylko trzy, co niestety wykazuje dużą dojrzałość polityczną narodu niemieckiego.

Niewątpliwie IV Rzesza w tej chwili jeszcze nie istnieje — Niemcy są w stanie ruiny gospodarczej, ale ich kryzys psychiczny jest mniejszy niż oczekiwaliśmy. Jest rzeczą oczywistą, że poza partiami oficjalnymi istnieją organizacje tajne, jest wielu sympatyków hitleryz-

mu i cała młodzież wychowana w nieszczytnym ustroju i duchu. Naród niemiecki posiada zdumiewającą zdolność regeneracji — istniejący w tej chwili chaos okupacyjny może im tylko zadanie ułatwić. Mało możemy im przeszkodzić, ale musimy wiedzieć co się w Niemczech dzieje. Rolą Ministerstwa Informacji jest dostarczyć nam tych wiadomości, ale trudno nie wyrazić zdziwienia, że trzeba się o to dopominać.

Dominik Horodyński

Kazimierz Koźniewski

Hitler m'a dit

W kwietniu 1940 roku Paryż nie czuł jeszcze wojny. Wprawdzie już 11 kwietnia rozpoczęła się nowa kampania wśród mroźnych pól Norwegii — lecz ten wybuch opinia paryska przyjęła raczej z ulgą. Gdy mroźna zima przerodziła się wreszcie w późną wiosnę, powszechnie oczekiwano „czegoś“. Po miesiącach sielankowego spokoju liczone się z atakiem któregoś ze stron. Francuzi czuli się bezpieczni za swą linią Maginota z jej domniemanym przedłużeniem do Kanalu — nieistniejącą linią Daladier'a. Wieść o najeździe Niemców na niewinnych Norwegów i Duńczyków — przyjęto niemalże z radością, jako najlepsze potwierdzenie tezy o niezwykłości linii Maginota, co zmusiło Hitlera do szukania gdzieindziej laurów efektownych, potrzebnych hitlerowskiej polityce wewnętrznej. Z Brestu, Havru i Dunkierki odchodziły okręty załadowane korpuserami ekspedycyjnymi — wśród których nie brakło i peleryn naszych Podhalańców — na pomoc północnemu sojusznikowi, ale w samym Paryżu i dziesiątku podobnych mu miast francuskich naczelną troską dnia było zagadnienie, jak cyrkami, kinami, teatrami i kabaretami uprzyjemnić nudne życie nieszczęsnej załóżki linii Maginot'a, między jej jednym a drugim „permissionem“.

Wśród takich trosk o rozrywkę, zabaw, bezpłodnych dyskusji ustalających wprawdzie katastrofalnego braku zaopatrzenia w Armię Francuską — ukazała się nowa, druga z kolei po „Rewolucji Nihilizmu“, książka oślawionego Hermana Rauschninga pt. „Hitler m'a dit“, która stać się powinna dla Francji sygnałem ostrzegawczym, która była rychło spełnionym proroctwem, — którą jednak wprawdzie z zaciekawieniem przeczytano, ale z niedowierzaniem przyjęto.

W kwietniu w Paryżu wzruszano z niedowierzaniem ramionami, czytając historyczne i historyczne wyrzucenia Hitlera z roku 1933, że rozpoczynając wojnę wprowadzi on swoje wojsko do wrogiej stolicy w mundurach jej żołnierzy, że opanuje aparat władzy u wroga zanim padną pierwsze strzały, że wszędzie zorganizuje uprzednio kadry swoich popleczników. Bezstronnie przyznać trzeba, iż udało mu się to prawie wszędzie. Plan ten powiódł się tylko po raz pierwszy w Polsce, po raz drugi w Wielkiej Brytanii, po raz trzeci w Rosji. Najlepiej plan ten udał się we Francji. Laval, Deat już od 1939, a może i dawniej, byli niemieckimi żołnierzami we francuskich tużurkach. Paryżanie zażywający za linią Maginota błogiego dolce far niente — mieli do lekceważenia książki Rauschninga prawo najmniejsze, nie wierzyli jednak Rauschningowi, jak nie wierzyli Polakom opowiadającym o straszliwościach Generalnego Gubernatorstwa. Drogo się zemścił ten sceptycyzm.

„Hitler mi powiedział“ — to niejako „Strzępy meldunków“ au rebours. Zebrane w tym tomie fragmenty rozmów przeprowadzanych z Hitlerem przez autora samego, lub w towarzystwie Goebellsa, Goeringa, najczęściej Foerstera i innych — miały miejsce w latach 1933 i 1934, krótko przed i po dojściu Hitlera do władzy. Są one materiałem dowodowym dla wniosków sformułowanych w książce o proroczo trafnej nazwie, w „Rewolucji Nihilizmu“. Jak się rzekło „Hitler m'a dit“ — to „Strzępy meldunków“ au rebours; gdy tamta pisał późny apostoł pilsudczyzny — tą ułożył wczesny apostoł hitleryzmu — więc do akuratności podanych tam fragmentów wypowiedzi wodza Trzeciej Rzeszy należy odnosić się cum grano salis. Zasadnicze je-

dnak — wywodzące się z niej — tezy Hitlera są niewątpliwie prawdziwe, tym pewniejszy tego jesteśmy, iż przypominając sobie dzisiaj tę książkę z łatwością odnajdujemy i ustalamy związek między słowami Fuehrera z roku 1934 a jego szaleńczymi czynami tragicznych lat ostatnich.

Z czytanej przed laty książki — wiele rozmów wyleciało mi z pamięci. Zasadnicze jednak wypowiedzi, zwłaszcza dotyczące wojny, na które podówczas, rzecz jasna, największą zwracałem uwagę — nieźle zakarbowały mi się w pamięci, by mi ułatwić przez ostatnie lata zrozumienie mechanizmu niemieckiej klęski.

Cel wszystkich wysiłków Hitlera, cel, który stosunkowo łatwo demaskował w gronie zaufanych współtowarzyszy — był jeden, jasny, niedwuznaczny, ostateczny: Niemcy muszą panować nad światem. Racje tego były nieskomplikowane i tkwiły w maniackim przeświadczeniu o szczególnych walorach rasy germańskiej, a raczej ściślej narodu niemieckiego, które uprawomocnia go do rządzenia innymi. Etapami celu tego miało być w pierwszym rzędzie podporządkowanie sobie, w sposób krwawy czy bezkrwawy, europejskiego kontynentu, potem marsz na Rosję i podbój

jej. Dalej przejście hegemonii w Azji i Afryce i w konsekwencji zmuszenie Ameryki — podminowanej piątą kolumną niemieckich volksdeutschów — do kapitulacji.

Pewność realizacji swoich planów opanował Hitler na trzech przesłankach, przez niego traktowanych jako pewniki. To właśnie jest dziś z całej książki Rauschninga najciekawsze. Te trzy motywy powtarzają się wielokrotnie w całej książce, w różnych wersjach i sformułowaniach, tak jak zapewne maniacko powtarzał je Hitler.

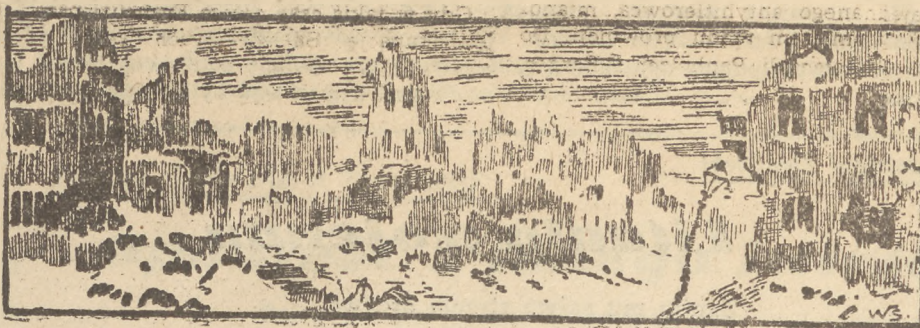
Pierwsze przeświadczenie — to bezwzględna i absolutna wiara w powstrzymanie się Stanów Zjednoczonych od jakiegokolwiek interwencji w Europie. Hitler był przeświadczone, że w USA rządzą niepodzielnie wygodne tendencje honorowania w całej rozciągłości doktryny Monro'ego. Na tym pewniku, któremu daje on wyraz niejednokrotnie, bawuje swoje rachuby. Stany Zjednoczone dość już — według Hitlera — sparzyły się na pierwszej wojnie światowej, by po raz wtóry wtykać palce w europejską awanturę. Wierząc, że w sprawie jego i Europy, czy jego i Rosji Ameryka nie będzie się mieszać — sądził, iż gdy on natomiast opanuje i Europę i Azję — to wszelkie amerykańskie próby reakcji bę-

dą grubo spóźnione i nie będą mogły już wydać praktycznych rezultatów. W takiej ułudzie mógł Hitler właściwie żyć aż po lato 1941 roku, kiedy to nastąpiło szereg aż prowokacyjnych posunięć ze strony Roosevelta, jak spotkanie atlantyckie z Churchilllem, poprzedzone o pięć miesięcy wcześniej podpisaniem „leas and lend bill'em“, jak zamknięcie konsulatów niemieckich w USA, jak demonstracyjna pomoc świeżo napadniętej Rosji. Fakty te winny być dla Hitlera dzwonkiem ostrzegawczym. Wypadki zimny 1944/45 i wiosny 1945 przekonały nas o tym, że Hitler był fanatykiem własnych omamień, w które ślepo, wbrew faktom, wierzył. Przeświadczenie o nieprzygotowaniu Ameryki do wojny na kontynencie, w połączeniu z osłepieniem pychą, gdy w początkach grudnia 1941 luneta oglądała Moskwę a na innych polach bitew wróg cofał się wszędzie — sprawiły, że Hitler nie dojrzał zamaskowanej jamy, jaką mu przez konflikt z Japonią gotował przebiegły Roosevelt, któremu dla racji wewnętrzno-państwowych potrzebnych było, by nie Stany Zjednoczone, lecz Stanom Zjednoczonym wypowiedziano wojnę. Tak się też i stało. Japonia dała się sprowokować — a Hitler był już dostatecznie otumaniony swymi urojeniami i zwycięstwami swoich żołnierzy, by nie dojrzeć swej zguby w automatycznie działaniu Paktu Osi, który zmuszał Niemcy do wypowiedzenia wojny każdemu wrogowi Japonii.

Hitler wojnę Stanom Zjednoczonym wypowiedział. Napadnięty Roosevelt zdołał wybrnąć z Kongresie całkowicie (1 głos sprzeciwu) jednomyślnie poparcie wojny — zacięła ręce z uciechy i oddawał na Pacyfiku wyspę po wyspie krzepiąc tym dobre samopoczucie Hitlera, widzącego wyraźnie całą zimę, wiosnę i lato 1942, jak bardzo trafne miał urojenia. Z początkiem listopada tegoż roku Eisenhower wyładował w Afryce. Roosevelt zacięła ręce, a Hitler był nieprzygotowany. Roosevelt lata całe rachował i odważał swe siły, a Hitler lata całe rachował na ich brak.

Przeciwnie niż Amerykę — Anglię uważał Hitler za chętną do interwencji w europejski konflikt. Do takiej jednak interwencji nie przywiązywał Hitler głębszej wagi. Brytyjczyków uważał za naród zdegenerowany, do wojny niezdolny. Interwencji Anglii przewidywał wyraźne granice — kresem jej miała być klęska Francji. Hitler kategorycznie odrzucił możliwość, by Wielka Brytania chciała i mogła walczyć dalej po klęsce Francji. Po klęsce Francji miała bezapelacyjnie nastąpić kapitulacja Anglii.

Jak wielce silnym było u niego to przeświadczenie, któremu dawał wielokrotny wyraz w swych rozmowach z Rauschningiem — dowodzi cały splot wydarzeń lata i jesieni 1940 roku. Wiare tę podzielał Mussolini. Ten, który ha semper ratione — tak był pewien kapitulacji Wielkiej Brytanii po poddaniu się Francji, że gdy tylko w Rzymie dobiegła go wieść o żądaniach Weyganda na smutnej pamięci posiedzeniu gabinetu francuskiego w dniu 8 czerwca — niezwłocznie wystąpił na balkon i by być obecnym przy podziale łupów — wypowiedział z dniem 10 czerwca wojnę Francji, trafnie rachując jej dni ostatnie. Waleczny duce pomylił się. Przyjaciel Hitlera uderzając na Francję nie poleciał sztabowi generalnemu przygotować inwazji na wyspy brytyjskie — wierząc w jej prędką nieaktualność. Dunkierka i St. Nazaire odegrały rolę podobną, jak później Pearl Harbour, Filipiny i Indie Holenderskie — utwierdzały przywódców Osi w ich fałszywych urojeniach. I oto



Helena Brzozowska

Wicek Warszawiak

Nie będę płakał Panie Jezu,
nie będę płakał więcej,
choć jestem głodny — Tobie gorzej,
bolą Cię nogi, ręce...

Zimno mi, Tyś drżał także z chłodu,
Tobie też — nie nowina —
(najgorzej, jak śnieg zimą spadnie
nocować na ruinach).

Przyznam się. Moja wina (Anioł
tak patrzy i z ukosa)
że wczoraj... z głodu... wypaliłem...
ogarek... papierosa...

To pierwszy, pierwszy i nieduży,
wymiotłem go z przed bramy,
oj, matka by mnie zbiła za to —
ale ja nie mam mamy...

I taty nie mam też, zupełnie —
gdzieś zginął pod gruzami.
Tak mi spokojnie patrzysz w oczy —
jesteśmy obaj — sami...

Bo ja jestem sam, na wielkim świecie,
Ty życie znasz tułaczem.
Ale nie będę płakał więcej...
o Boże?... co Ty?... płaczesz?...



ność wpływała głównie z ogorzałości zniszczonej przedwcześnie twarzy. Zawziętość, z jaką zwykle pracował, również ukazała mi się w innym niż dotychczas świetle. Wiedziałem już teraz, że nie miała ona nic wspólnego z gorliwością, za jaką ją zrazu poczytywałem zaślepiony bezsensowną niechęcią do tego człowieka. Co prawda, widząc jego stosunek do dozorców obozowych, mogłem od razu zorientować się, że tchórzostwo i chęć przypochlebiania się, wkupienia w łaski były mu całkowicie obce. Przypuszczam, że za pomocą tej narzuconej sobie dyscypliny fizycznej chciał zachować siłę moralną do przetrwania wszystkich okropności obozu. I podczas gdy on najcięższą robotę znosił tak dobrze, znajdując zdanie w pracy zapomnienie, ja czułem się najgorzej właśnie w godzinach tej strasznej pracy. Wysysała ona ze mnie resztki siły, doprowadzając mnie nieraz do łez. Ciągłe wrzaski bestii, które nas pilnowały z bykowcami w rękach, wyczerpywały moje nerwy do ostatnich granic. Coraz też częściej miewałem bicie serca i zawroty głowy. Ale on był silny i stał poza tym wszystkim. Sam nie wiem kiedy i jak to się stało, lecz moja nienawiść do tego człowieka rozwinęła się niespodziewanie, a miejsce jej zajęły podziw i zazdrość.

Pogłoski o klęskach niemieckich zaczęły tymczasem docierać do nas w coraz wiarogodniejszej formie. Nasi niemieccy towarzysze, których więziono tu w dużej liczbie, bo około 300-tu, namiętnie przekonywali nas o bliskim upadku hitleryzmu, a zatem i bliskim końcu wojny. Ale prawdziwą nadzieję i radość wlały nam dopiero do serca pierwsze dalekie odgłosy armat, choć równocześnie przyniosły one trwogę. — Co z nami uczynią? Czy pognają nas gdzie przed siebie, czy po prostu wykończą tu na miejscu? Zauważyliśmy pewien popłoch wśród SS-manów, którzy jednak zmiarkowawszy to, zdwoili czujność, przesładując nas gorzej jeszcze niż dotychczas. Drogo płaciliśmy za każdy uśmiech wolności, który mimo woli wykwitał nam na ustach, karmiony nadzieją rozwijającą się w naszych udęconych sercach. Przy pracy nie szcędzono nam wymyślań i razów. Apele były coraz częstsze i bardziej przykre. Nie wróżyło nam to nic dobrego.

Przyszło ciepło, ciepło wiosenne, na które czekaliśmy całe miesiące, o którym marzyliśmy trzęsąc się w naszych prawie nieogrzewanych barakach. Lecz ciepła tego, zbyt widać upragnionego, nie potrafiliśmy już znieść. Jak postrzelone zwierzę, które czołga się do strumienia, aby opłukać w nim rany, bezsilne opada jednak na dno i tonie, tak ja tonąłem wycieńczony w żarze słońca, który czynił dla mnie pracę niemożliwą. Plamy czerwone, żółte, fioletowe coraz częściej zaćmiewały mi oczy, szum w uszach, który stawał się nie do wytrzymania, przyprowadził mnie o utratę równowagi. Zataczałem się jak pijany, wciąż jednak zbierając resztki siły, aby nie dostrzegli tego dozorcujący. Wiedziałem, że z chorymi nie zabawiano się tutaj. Najczęściej znikali oni bez śladu po kilku zaledwie dniach choroby. Teraz, gdy armaty huczały już coraz częściej i wyraźniej, nie mogłem liczyć na żadną litość. Kurczowo ścisnąłem więc swój kilof w rękę, markując robotę. A on... on spełniał ją teraz za mnie i za siebie, krusząc głazy z podwójną szybkością i mrużąc do mnie od czasu do czasu: — Trzeba to jakoś wytrzymać. To nie potrwa już długo. — Ponieważ pracowaliśmy w punkcie najbardziej oddalonym od centrum obozu, nad samą przepaścią, której widoku SS-mani instynktownie — jak zauważyliśmy — unikali, udało mi się przez dłuższy czas nie zwrócić na siebie ich uwagi.

Samoloty krążyły nad nami coraz częściej, pomruk dział stawał się coraz bliższy. W dzień, przy pracy nie słyszeliśmy go tak dobrze, ale w nocy, w nocy nie dawał nam już spać. Wsłuchiwaliliśmy się w to głucho dudnienie, jak w najśłodszą muzykę.

Cały obóz obiegła nagle plotka, że zostaniemy wszyscy wywiezieni dalej. Pakowano to i owo. Ach, gdybyśmy wówczas wiedzieli, że już za późno na to wszystko! Gdybyśmy wiedzieli, jak już z nimi źle! Może nie dalibyśmy się już dłużej maltretować, może już wtedy zerwalibyśmy pęta. A wtedy... nie stałaby się ta straszna rzecz.

On, właśnie on, który był najodważniejszy, najdumniejszy z nas wszystkich; on, który mi odpłacił za nienawiść, za niechęć, za zazdrość słowem otuchy i podwójnym znojem; on, który kochał i tęsknił, podczas gdy ja myślałem wciąż tylko o sobie, niezdolny wyzwolić się ze strachu i bólu... Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że miał kogoś daleko, o którym myślał bezustannie. Może to była żona, może córka, może kochanka?

Nie zapomnę tego ranka. Szliśmy, a raczej wlekliśmy się do roboty zdumieni ciszą, jaka nagle zapanowała po nocy pełnej groźnego huków. Chmury przewalały się nad nami niespokojne. Było duszno. Coś straszego wisiło w powietrzu. Nigdy nie czułem się jeszcze tak okropnie. Serce biło mi nierówno, ustając chwilami zupełnie, lub trzepocąc się z nienormalną szybkością. Cały czas myślałem tylko o tym, jak wytrzymam do wieczora. Gdybym nie miał go tuż przed sobą — lekko przygarbionego, ale prze-

cież tak mocnego, chyba bym od razu padł na ziemię, wyzywając przeznaczenie. Lecz jego silna wola pchała mnie na przód. Wreszcie przybyliśmy na miejsce. Nie słysząc jego kilofa, który puszczał zazwyczaj z pośpiechem w ruch, zwróciłem się ku niemu... Pierwszy to i ostatni raz ujrzałem go wówczas bez maski. Twarz miał podniesioną lekko ku niebu. Drżącymi ustami wyszeptał te proste, ale jakże wzruszające zdanie: — Boże, pozwól mi ją zobaczyć jeszcze! — Dział rozumem, że westnienie to wyrwało mu się w przecuciu czegoś złego.

Nie, nie będę opisywał tego, co się stało w kilka godzin później. Jakież słowa potrafiłyby oddać błyskawice przeżyć, które nas osłepiły od chwili, gdy rzucając przed siebie kilof, upadłem półprzytomny na kamienie, a on biegł ku mnie, aby mnie osłonić przed razami rozwścieczonej bestii niemieckiej, aż do momentu, gdy ciało jego strącone kolbą karabinu, potoczyło się z łoskotem po głazach w przepaść.

Tego samego wieczoru nie było już w naszym obozie ani jednego hitlerowca. Uciekali opętani dzikim strachem.

A on leżał tam z nieukojonym sercem.

— Boże, pozwól mi ją zobaczyć jeszcze!

Teraz, gdy już dogorywam i wiem, że nic mnie nie może uratować, że odejdę wkrótce na zawsze, widzę całą bezdenność jego ofiary. Ja, który nie miałem ani żony, ani córki, ani kochanki, stałem się przyczyną... Ta myśl odbiera mi rozum.

Gdy przyrykam oczy, widzę jego skupioną, ogorzałą twarz. I słyszę ten jego szept, którym starał się wlać mi siłę w piersi: — Trzeba to jakoś wytrzymać. To nie potrwa już długo.

Teraz nie pragnę już niczego, jedynie, by świat dowiedział się o nim. Może wiadomość o jego bohaterstwie dotrze i do niej, a on choć w ten sposób spotka się z tą, którą kochał i za którą tęsknił.

Wanda Bacewiczówna

Marek Antoni Wasilewski

Trzy ataki na Uniwersytet Warszawski

Grupa powstańców, która zaatakowała Uniwersytet w dniu 1-go sierpnia 1945 r., nie tylko że nie zaskoczyła niemieckiej załogi Uniwersytetu, ale sama została przez nią zaskoczona. Oddział złożony z 60 ludzi, który ruszył do ataku z ulicy Sewerynow 8 dostał się momentalnie po wychyleniu się zza rogu ulicy Obożnej pod ostrzał niemieckiego cekaemu, umieszczonego na gmachu Chemii. Jest rzeczą niezrozumiałą, w jaki sposób oddział ten bez żadnych strat zdołał prze dostać się na ulicę Obożną 10, mimo, że cekaem niemiecki nie przestawał ostrzeliwać ulicy ani na chwilę.

Uzbrojenie tych 60 ludzi składało się z: 80 filipinek, 7 pistoletów, 3 pistoletów maszynowych, 2 szczypiec do cięcia drutu i — jednej siekiery. Zajawszy stanowisko przy ulicy Obożnej 10 o godz. 16, oddział otrzymał rozkaz uderzenia poprzez podwórko tego gmachu, przez zasieki z drutów kolczastych na podwórzec Uniwersytetu. Jednocześnie druga grupa miała uderzyć przez bramę główną. Grupa ta mająca stacjonować na ulicy Królewskiej spóźniła się i musiała połączyć się z grupą pierwszą przy ulicy Obożnej 10. Poza pistoletami i granatami nie wniósła ona żadnych poważniejszych zasobów orężnych.

Atak przez podwórzec uniwersytecki nie był rzeczą łatwą. Trzy niemieckie erkaemy skoncentrowały swój ogień na drzwi i okna domu, uniemożliwiając posunięcie się chociaż na krok w kierunku zasieków. A jednak zasieki trzeba było przeciąć. Pięćminutowy ogień niemiecki nie był bezskuteczny. Pięć minut walki — czterech ludzi rannych. Dowództwo placówki było poważnie zakłopotane. Na ulicy Sewerynow pozostał angielski moździerz „Stockes“, który miał wspierać uderzenie swoim ogniem. Tymczasem moździerz milczał jak zaklęty. Kilkadziesiąt strzałów pistoletowych, jak i kilka rzuconych na podwórzec granatów nie zdziało kompletnie nic. Drogocenny czas mijał. Dowództwo zażądało dwóch ludzi na ochotnika, którzy pod osłoną ognia pistoletów maszynowych przecieliby posiadanymi kleszczami zasieki. Ochotnicy znaleźli się natychmiast. Otworzono drzwi na podwórko i rozpoczęto symulować ogień huraganowy ze wszystkich pistoletów. Pierwszy ochotnik padł zabity nim przeszedł 3 metry do drutów, drugi dopełzył do nich i po przecięciu kilku zwinął się w krwawiący kłębek, wołając o ratunek.

— Tu, tu! — wołano ku niemu gorączkowo, otwierając drzwi.

— Jestem ślepy! Dostałem w oczy! — odpowiadał im ochotnik. — Nic nie widać! Rzucicie mi linę!

Po kilku minutach rzucono mu linę i ściągnięto ucepionego do niej rannego. Jednakże w czasie ciągnięcia niemiecki erkaem zdołał go trafić trzykrotnie w nogę.

Niemcy otrzeźwiali. Zrozumieli, że grupa, która ich zaatakowała, rozporządza minimalną siłą ognia. Rozpoczęto ogień granatników. Pierwsze granaty przyjęli powstańcy z entuzjazmem.

— Hurra! To nasz „Stockes“!

Jednakże „nasz Stockes“, pomocawszy kilkakrotnie teren obok obsadzonego przez powstańców domu, wstrzelał się nienajgorzej i nie minęło piętnaście minut, a oficyna domu zaczęła się walić i dach zajął się płomieniami. Łącznik, który przybiegł nie wiadomo skąd, doniósł o posuwaniu się niemieckich czołgów Nowym Światem. „Grenadierzy“, t. zn. ci, którzy patrząc na cały atak bezczynnie, ściskali w dłoniach samotne „filipinki“, obsadzili okna. Komenda Miasta na Nowym Świecie, zorientowana zapewne telefonicznie, wystawiła ze swej strony cekaem, który rozpoczął ogień przed nosem Kopernika w Obożną. Jednocześnie z drugiej strony bił cekaem z gmachu Chemii wykorzystując załamanie się Obożnej przy ulicy Karasia. Cekaemy współpracowały między sobą idealnie, tworząc krzyżowy ogień przez Obożną, uniemożliwiając odwrót.

Jednocześnie wzmógł się ogień granatników na jednopiętrowy dom nr. 10. Powstańcy zdawali się być schwytani w pułapkę. Odejści byli ogniem zarówno od ulicy Sewerynow jak i od Karasia. Sytuacja stała się jeszcze krytyczniejsza, kiedy o godz. 17 doleciał przytłumiony odgłos nadjeżdżających czołgów. Na szczęście, czołgi poszły prosto Nowym Światem, omijając osamotnioną placówkę. Wielkie nagromadzenie osób na małym terenie sprzyjało powstawaniu poważnych ofiar. Około 100 ludzi skupionych na małym podwórczku, naprzorno oczekiwali konkretnego rozkazu. Wreszcie po dwugodzinnym ogniu granatników postanowiono wycofać się, robiąc skok przez krzyżowy ogień cekaemów na Obożnej. Innej drogi nie było. Zdobyć Uniwersytetu od strony Obożnej stało się niemożliwością, bez wsparcia moździerza i bez żadnego karabinu. Oddział podzielił się na mniejsze partie, które miały kolejno dokonać skoku. Jeden z powstańców pod osłoną drzewa rosnącego przy rogu Obożnej, otworzył ogień w pepeszy w kierunku ukrytego cekaemu w gmachu chemii. Pozwoliło to dokonać skoku przez wąską ulicę bez strat dla pierwszej partii. Druga partia przebiegających również miała szczęście. Cekaem z Komendy Miasta zamilkł na chwilę. Trzeciej grupie nie powiodło się tak dobrze. Jeden z żołnierzy trafiony został w kieszeń. Trzeba trafiać, że kieszeń ta zawierała „filipinkę“. Ciało ludzkie leżało rozrzucone w promieniu kilkunastu metrów. W ostatniej czwartej partii, trzymające osłabionych upływem krwi

Helena Bzowska

Noc Wigilijna

Gdy Noc Wigilijna zapadnie — nie budźcie, niech śpi Warszawa zbyt długo serc młodych żarem walczyła krwawo i znojemnie o jutro lepszego zorzę, o wolność i swoje prawa, aż Bóg się nad nią zlitował i dał jej usnąć spokojnie. — Nie trzeba wieńców żałobnych, ni werbli głuchych dla miasta i nad mogiłą Warszawy salw honorowych wystrzału, bo stokroć wyżej niż pomnik, z zgliszcz ostrze w niebo wyrasta i piękniej niż krepy zwoje, spowinął ją śniegu całun. Śnieg biały niechaj prószy na piwnic wspólne mogiły, na czarne garby barykad i ulic rany rozwarte, na ślepe żrenice okien, co w niebo się zapatrzyły i na szkielety kościołów i na ołtarze odarte.

Gdy Noc Wigilijna zapadnie — nie budźcie, niech śpi Warszawa zbyt długo wierzyła mocno, że chwila już niedaleka, że łez i życia danina dość wielka już jest i krwawa, aż Bóg się nad nią zlitował i nie dał dłużej jej czekać. Nie trzeba pieśni organów, nie trzeba światła jarzących i nie potrzebne na placach pachnących choinek rzędy, bo jaśniej przez dni i noce świeciły domy płonące i dotąd drżą jeszcze w zgliszczach, bomb spadających kolędy. Śnieg biały niechaj prószy, śmierci łagodną pieśczętą na blade łączniczki usta, na księży skrwawione ręce, na młode twarze żołnierzy, na krwawe kanałów błoto, na włosy sanitariuszek, na gońców usmiech dziecięcy — — .

Gdy Noc Wigilijna zapadnie — nie budźcie, niech śpi Warszawa zbyt długo krwawiły mury Powiśla, Starówki, Woli, hartował się duch wolności, zmagala się z śmiercią sława, aż Bóg się nad nią zlitował — odpocząć jej wreszcie pozwolił — Nie trzeba łez beznadziejnych, rozpaczonych uniesień — pod śniegu białym całunem spoczynek znalazł bezpieczny sierpień pijany nadzieją, rozpaczą krwawiącą wrzesień, zapał, co targał sercami pod śniegiem śni sen swój wieczny. Śnieg biały niechaj prószy, na serc rozdarłe nadzieje, na krwawych kwiatach rozpaczę puchami zasp niech wyrasta — W Noc Wigilijną wiatr gwiazdom dalekim, pieśni zawieje, że pod śniegowym całunem śpi dusza — wielkiego miasta.

chłopców, przewracały się wraz z nimi o trupy na ulicy. Może to właśnie ocalało je i rannych. Cekaemy prały wściekle górą. Dopiero po chwili zorientowali się Niemcy, że wśród trupów leżą żywi, ale te kilka sekund wystarczyło do powtórnego poderwania się i przedostania się poza zasięg cekaemów na ulicę Karasia. Ostatniej partii najciężej rannych nie zdołano zabrać. Dach domu zawalił się z głośnym trzaskiem i czerwony ogień strzelił wysoko w górę.

W jednej z bram domu przy ulicy Karasia czekał porucznik. Dowódca placówki złożył suchy raport, który porucznik przyjął z kwaśną miną. Bohaterem dnia był ślepy na jedno oko i ranny w nogę ochotnik do przecinania drutów plutonowy podchorąży „Krzysztof”. Pierwszy atak na Uniwersytet zakończył się fiaskiem.

Warto dodać jeszcze, dlaczego nie odezwał się oczekiwany przez powstańców „Stockes”. Nie odezwał się tylko pozornie. Strzelił aż dwa razy. Pierwszy raz niewyszkolona obsługa cudem uniknęła samobójczej śmierci. Granat z moździerza rozerwał się tak blisko strzelających, że kilku żołnierzy zostało osmalonych. Drugi strzał był lepszy. Granat upadł na podwórzec Uniwersytetu. Powstańcy ostrzeliwani na Obożnej nie dostrzegli go w czasie walki. Nie uszedł on jednak oka Niemców, którzy momentalnie obsadzili okna Uniwersytetu wychodzące na ulicę Sewerynową i otworzyli niespodziewany ogień. Z piętnastu ludzi rezerwy i obsługi, trzech zostało zabitych, a trzech rannych. „Stockes” dzięki poświęceniu powstańców, został ściągnięty z powrotem pod nr. 8 i uniknął losu pozostałych aż do kapitulacji Warszawy trzech ciał żołnierzy ze swej obsługi.

Drugi atak na uniwersytet był najbliższy całkowitego powodzenia, a w każdym razie był częściowym odwetem za pierwszy, nieudany.

Uniwersytet miał być zaatakowany tym razem z dwóch stron. Powstańcze samochody pancerne miały zaatakować go od bramy wjazdowej na Krakowskim Przedmieściu, natomiast grupy wypadowe Dolnego Powiśla uderzyć miały od ogrodów przy ulicy Zajęcej. Załoga niemiecka przy powodzeniu tego ataku mogła mieć tylko dwa wyjścia: wycofanie się w kierunku mostu Kierbedzia lub bezwarunkową kapitulację. Trzeba nadmienić, że dowódca Uniwersytetu dwukrotnie odrzucił propozycję kapitulacji, wyostawiane doń przez władze powstańcze.

Atak rozpoczął się o godz. 4 w nocy. Samochody pancerne obsadzone zostały przez kolumnę motorową „Wydra”, wyposażoną w zrzućcową broń angielską. Kolumna motorowa rozporządzała: piątem, dwoma miotaczami ognia własnej produkcji, dwoma karabinami, pięcioma pistoletami maszynowymi oraz pokazną liczbą granatów i pistoletów. Oprócz tego otrzymała ona wyposażenie specjalne — miny własnej produkcji, którymi miano wysadzić bramę uniwersytecką.

Od Zajęcej rzuciło dowództwo cztery grupy wypadowe po ok. 20 ludzi, a więc grupy: „Startera”, „Rafała”, „Leszka” i grupę sapersko-szturmową „Janeckiego”. Były to doborowe oddziały Powiśla. Uzbrojenie ich składało się z jednego angielskiego erkaemu „Brenn’a”, dwudziestu karabinów, ośmiu pistoletów maszynowych, pistoletów i granatów wszelkiego rodzaju poprzez angielskie „Gamony” (granaty obronne), własne „Sidolówki” i „Karbidówki” (1 i pół kg. granaty przeciwczołgowe) do najprostszyc „Filipi-nek”.

Hasłem do natarcia dla grup Dolnego Powiśla miał być ogień własnego cekaemu, który ustawiony na dachu jednego z domów przy ulicy Sewerynowej, winien był szachować niemiecką załogę uczelni. Bezpośrednio przed rozpoczęciem ognia miała się ukazać nad Uniwersytem czerwona rakietka. Znakiem do ewentualnego odwrotu miały być trzy białe rakietki.

Noc była ciemna i oddziały Dolnego Powiśla, które zaopatrzyły się w t. zw. popularne „cichostępy” (szmaty na nogi), zdołały bez zwrócenia uwagi Niemców przedostać się przez ulicę Obożną i wejść na terytorium ogrodów, leżących między jej ramieniem a ulicą Zajęcą. O godz. 3.20 zajęły one już stanowiska w spalonych budynkach stojących w tych

ogrodach. Oddziały te podsunęły się tak blisko do stanowisk niemieckich, że słychać było wyraźnie szepty rozmawiających nieprzyjaciół. Widoczność była jednakże bardzo słaba, tak, że trudno było cośkolwiek dojrzeć. Oprócz tego gęsta linia krzewów zasłaniała placówki niemieckie, a strone wzgórze uniemożliwiało naszym oddziałom użycie granatów ręcznych, które rzucone, stoczyłyby się z powrotem na rzucających. Perspektywa takich granatów — bumerangów odbierała wszystkim ochotę do stosowania tej broni. Wyczekiwano rakiet i ognia cekaemu. Zajęto się również sprowadzeniem narzędzi do przecięcia zasieków.

Tymczasem dwa polskie samochody pancerne: „Kubus” i „Szary Wilk”, nazwany tak na cześć poległego w tym ataku plutonowego podchorążego Szarego Wilka, wyjechały Nowym Światem do Krakowskiego Przedmieścia i nieostrzelane przez Komendę Miasta, która jeszcze wtedy znajdowała się w rękach Niemców, dotarły do bram Uniwersytetu. Niemcy w Komendzie Miasta sądzili, że chodzi tu o niemieckie samochody pancerne, w czym upewniła ich linia „Szarego Wilka”, który był zdobyczą na dywizji SS „Wiking”.

Pionierzy wypadli z samochodów, błyskawicznie założyli miny pod osłoną ogniową i cofnęli się za samochody. Miny wybuchły z ogłuszającym hukiem i kłęby dymu zasłoniły bramę.

— Naprzód! — padła komenda. Opancerzony „Szary Wilk” ruszył z miejsca. Nie dane mu jednak było ujechać daleko. Miny wprawdzie wybuchły, narobiły dużo smrodu i huków, ale gdy samochód pancerny rąbnął o bramę, wszyscy poczuli, że ta trzyma się jeszcze doskonale.

Niemcy tymczasem wzmogli ogień. Mimo wszystko nie bardzo orientowali się o co chodzi. Nie mogli uwierzyć w brawurowy atak dwóch odosobnionych pancerek na jeden z najsilniejszych bastionów Wehrmachtu w Warszawie. Dowódca samochodu szybko zorientował się w sytuacji. Należało działać. Jeśli Niemcy zdołają ściągnąć działko pepanc i unie ruchomią autą, powstańcy zostaną zamknięci między Uniwersytem, a Komendą Miasta i szybko zlikwidowani. Uneruchomienie samochodu równało się katastrofie. Pierwsza rzecz to:

— Cofnąć wóz! Piąt naprzód! Ognia w bramę!

Raz! Dwa! Trzy! Trzy pociski wałę w bramę, która odrywa się z zawiasów, a więc, jeszcze raz:

— Naprzód!

Pancerna maska wywała skrzydło bramy. Polskie samochody wjeżdżają na dziedziniec uniwersytecki. Biblioteka wita je ogniem cekaemów, na lewo bunkier przypomina o sobie erkaemem.

— Oemy naprzód!

Miotacze ognia żygają płomieniami wprost w strzelnicę bunkra. Niemców o garnia panika. W ciemności nie można odróżnić, kto jest Polakiem, a kto Niemcem. Najdokuczliwsza jest odległa Biblioteka ze swymi cekaemami, których nie sposób uciszyć.

— Obsługa z wozu!

Czarne cienie odrywają się od aut. Bibliotekę i sąsiednimi gmachami zajmują się czule piacista. 23 pociski biją raz za razem w okoliczne zabudowania. Pod ogniem piąta milkną cekaemy. Niemcy, którzy usiłowali przedostać się z bocznych budynków do Biblioteki, padają na podwórku od ognia peemów.

Nasi rzucają się do trupów. Tam jest broń! Broń jest najważniejsza! Po ataku oemów na bunkier i po poczęstowaniu go piątem, sypią się ku niemu granaty i chłopcy wdzierają się do środka.

Załoga martwa. Erkaem, 25 magazynów, skrzynia granatów, dwa pistolety padają pastwą powstańców.

Tymczasem w samochodzie zostają już tylko trzy pociski do piąta. Jest to żelazna rezerwa, której nie wolno naruszyć. Biblioteka odetchnawszy od złowrogiego piąta, szykuje się do kontrataku. Kosztuje on zarówno naszych, jak i Niemców. U drzwi Biblioteki rozplaszczają się czarne cienie, by więcej nie powstać, ale i straty własne są duże. Padają najdzielniejsi: plutonowy Szary Wilk i strzelec „Norbert”. Przeszło połowa obsługi poza wozami jest ranna. Niemcy rzucają granaty ręczne z okien. Od Krakowskiego Przedmieścia słychać nadchodzące czołgi. Rozpoczyna się odwrót. Jest jednak przeszkoda: „Kubusiowi” zgasł motor i nie chce się zapalić.

Następuje chwila naprężonego wyczekiwania. Czołgi słychać już coraz bliżej. Szofer męczy się przy maszynie całe dłu-

gie, ciągnące się w wieczność dwie minuty. Czołgi już słychać, zda się, że tuż tuż... Oh! Nareszcie! Samochód rusza...

Jednak to jeszcze nie koniec wyprawy. Komenda Miasta nie wiedziała kto jedzie, ale wie kto wraca i przed pomnikiem Kopernika przyjmuje samochody ogniem broni maszynowej i granatami. Granaty nie groźne dla zamkniętego „Kubusia”, są postrachem dla otwartego „Szarego Wilka”. Niechby tak który granat upadł do wnętrza wozu to — marmelada! Ale szofer daje gazu i samochody wjeżdżają w ulicę Kopernika. Tu są wreszcie bezpieczne.

Raport wypadu tym razem lepiej: jest broń i najmniej trzydziestu „szkopów” na rozkładzie.

Warto przyjrzeć się jeszcze grupie Dolnego Powiśla, która czeka na sygnał do ataku. Grupa ta czeka długo, bardzo długo. Wreszcie pada ogień cekaemu. Jednakże jest to „szukający” na ślepo cekaem niemiecki, który rani jednego żołnierza. Do godziny 7 rano grupy wypadowe czekają na sygnał, by wreszcie zejść ze swych stanowisk nie doczekawszy się niczego, ani sygnału ataku, ani sygnału odwrotu. Nie było ani rakiet, ani własnego cekaemu. Było jedno wielkie nieporozumienie, które kazało tym żołnierzom stać przez 4 godziny o 10 metrów od placówek nieprzyjacielskich, aż do białego rana.

Dnia 2 września odbył się trzeci i ostatni atak powstańczy na Uniwersytet. Był to atak desperacki, mimo, że przygotowywany całymi dniami technicznie i, jak się początkowo zdawało, strategicznie.

Atak miał wyjść z ulicy Obożnej, a właściwie z domu narożnego ulicy Sewerynowej Nr. 10/12, którego brama boczna wychodzi na ulicę Obożną. Plan dowództwa był następujący: wszystkie siły powstańcze uderzą przez ulicę Obożną na gmach Chemii. Druty zniszczone zostaną przy pomocy min i nożyc. Boczna brama zniszczyć miano również przy pomocy min. Atak wspierany będzie: a) przez skomasowaną broń maszynową, dwa cekaemy i dwa erkaemy, b) przez samochód pancerny „Szary Wilk”, któremu dobudowano wierzchnie pokrycie i wieżyczkę strzelniczą o sile ogniowej jednego erkaemu. W celu zachowania jak największej ostrożności, piwnice na całej długości ulicy Sewerynowej zostały wyłożone poduszkami, kołdrami, pierzynami, dywanami i t. p.

Atak wyznaczony został na godz. 16. Miało w nim wziąć udział około 250 ludzi plus obsługa broni maszynowej i samochodu pancernego. Część żołnierzy uderzyć miała przez wysadzoną bramę od Obożnej, druga część przez spalone domy Obożnej 8 i 6.

Punktualnie o godzinie 16 grupa pionierów wyskoczyła przez okna parterowe domu przy ulicy Sewerynowej 10/12, podbiegła z minami do bramy, zapaliła je i wróciła, kryjąc się za domem. Niemcy „spali”. Tak! Kompletnie spali. Nie odezwał się ani jeden strzał. Nic. Grupa dwudziestu ludzi zakłada miny pod nosem wroga i — nawet nikt nie krzyknął. Nie było żadnej warty niemieckiej od ulicy Obożnej. Można było zwątpić w Wehrmacht.

Na odgłos wybuchu min Niemcy obudzili się wreszcie i raczyli wyrzeć. Zobaczyli, jak zwykle po minach, tylko kłęby kurzu. Tymczasem nasi, uzbrojeni się w potężny pał, rąbnęli nim w zatarasowane drzwi z okrzykiem „hurra!”, by wyostać się na ulicę. Okrzyk ten był tak potężny, że obudziłby w grobie umarłego. Zainteresował też bez wątpienia Niemców. Nie zareagowały nań jedynie zatarasowane drzwi. Ani drgnęły. Zupełnie tak, jak Niemcy, w chwili gdy pionierzy wypadli z minami na ulicę. Wobec tego druhy jeszcze raz „hurra!” i jeszcze raz łup „badylem” w drzwi, a drzwi — nic. Badył niezgorszy. Dziesięciu chłopca w drzwi nim wali i — bez skutku. Niedobrze! Jeszcze raz „hurra!” i — buch. Znów nic! Jednakże owe gromkie „hurra!” zorientowało Niemców skąd grozi niebezpieczeństwo.

Jeśli Wehrmacht nie zachował się comme il faut, nie wystawiając wart od Obożnej, to Polacy niemniej pogwałcili etykietę wojenną, krzycząc „hurra!” przed, a nie po wywaleniu drzwi. Dopiero piąte, czy szóste „hurra!” dało spodziewany efekt. Przejęcie wywalono. Lecz Niemcy wiedzieli już o wszystkim i

Tadeusz Gajcy (Rarol Topornicki)

KOLEDA

Ogień nieziemski pod łukiem bramy
wspiętej wysoko jak dzwon lub ołtarz
łuna ofiarna jak gałąź złota
spływa na głowę chłodną w konaniu —
zaśpiewajmy mu, zagrajmy,
czekaj martwy na ulicznym posłaniu.

Krętych chmur stoi wieniec bogaty,
liczne dymy z miast ojczystych wołają,
a twe okno jak gwiazda maleńkie
nie przytuli do firanek białych;
i nad włosiem zgiętym jak kwiatem
znów zahuczy śmiertelny metal —
zaśpiewajmy mu, zagrajmy,
ach, uboga stajenka lecz piękna.

Z lewej mur, z prawej cegła — i wszystko
jeszcze granie dalekie żelaza
i na piersi człowieczej złe pismo,
A to dar, a to ofiarna moc,
co do ziemi przychyła i każe
słuchać głosu jak echa wśród zmierzchu,
gdy zanika i wiedzie je leśny
obłok ciemny jak ziemia — bez gwiazd.

Ciemność przecież najlepiej kołysz, w niej dostrzeżesz te ognie prędkie,
co z czerwonej na piersi kropelki
leczą wiotko, witają twe przyjście.
I choć bydląt tu nie ma, ni siana,
to ulica darami usłana:
marmur kruchy, wapno i smoła,
ach, uboga stajenka, spokojna.

Niby gwiazda prowadząca ku źródłu
spłynie gołąb laurowy na nią
i zamieni ci wówczas krwią rudy
kamień płaski na białe posłanie —
zaśpiewamy ci, smutny, zagramy:

w płytkim żłobku — niepodał twej bramy
w Betleemie — narodziło się dziecię.
Cierni we włosach, cierniowa koszula
i przebite nogi i ręce;
lulaj, lulaj,

po czwartym „hurra!“ dali salwę z erkaemu w drzwi. Kule przeszły na wylot i zrobiły swoje. Dwóch rannych nim wylamano przejście.

A teraz wyobraźmy sobie, jak wypada na ulicę, „gęsie“ przez wąską bramę 250 ludzi, w których skierowano ogień erkaemu i kto wie, może nie jednego? Tym niemniej wściekłość bojowa ogarnęła chłopców. Do trzech razy sztuka! Runęli naprzód jak lawina. Zdawało się, że nic nie zdoła ich powstrzymać, gdy w tem... coś dziwnego: żołnierze stają w słupach kurzu. Stają i padają. Co to znaczy? Czyżby zbrakło im odwagi?

Nie! Dym opada i... zęby zgrzytają z wściekłości. Myny nie spełniły znów swego zadania. Żołnierze ujrzeni przed sobą druty kolczaste. Ogień stał się huraganowy. Odległość — kilkanaście metrów od wroga (druty kolczaste i biały dym). Strzela się ze wszystkich. Wali się z „Visów“ i z „Coltów“, ze „Zbrojuvek“ i z ordynarnych, ośmieszonych zabawek z „piątek“. Niemcy przewieszają się przez okna, ale i nasi rozciągają się na ulicy. Ogień jest szalony, piekielny. Kule padają tak gęsto, że człowiek zaczyna się dziwić, że jeszcze żyje. Zresztą, nie ma czasu na zdziwienie. Tam oto wychyla się Niemiec. Krótka seria ze Schmeissera i Niemiec znika. Ogień wzmaga się od strony niemieckiej. Padają ręczne granaty. Padają jeden za drugim, pomiędzy dziesiątki ciał rozciągnięte na wąskim bruku ulicy. Granat, to śmierć dla wielu. Trzeba go odrzucić. Jeśli granat upadnie w zasięgu twojej ręki, to jest twoim psim obowiązkiem starać się odrzucić go. Nie wolno się namyślać, czy nieprzyjaciel przetrzymał go przepisowo, czy nie. Nasi odrzucają granaty raz za razem. Niemcy jednak znów mają przewagę. Nie można im wrzucić granatu w okno, a tymbardziej w wąską strzelnicę, podczas gdy oni mogą rzucać w naszych prawie że bez narażenia życia. Walka przybiera charakter porażki. Nie można posunąć się ani na krok dalej. Amunicja wzięta do ataku zaczyna się wyczerpywać. Gromada ludzka rozpełza się wzdłuż ulicy na lewo i na prawo, część ucieka do tyłu.

Wtem... ulicą Sewerynow sunie „Szary Wilk“. Hurra! „Krzysztof!“ przebiega przez wszystkich myśl. Pancerką kieruje bohater pierwszego szturmu, podchorąży „Krzysztof“. Erkaem „Krzysztofa“ pruje po oknach, że aż miło. Daje to możność przedostania się do ruin domu Oboźna 6. Jest „Krzysztof“, ale gdzie cekaemy? Cekaemy milczą.

Jezus, Maria! Czemuż „Krzysztof“ tak się spóźnił? Dopiero po ataku wyjaśnia się, że w chwili jego rozpoczęcia zaczęto doszwejsowywać wieżyczkę do samochodu pancernego.

Podchorąży „Krzysztof“ spostrzega ze smutkiem, że miny nie działają. Wydaje rozkaz forsowania bramy. „Szary Wilk“ wjeżdża całym pędem na bramę, przewraca ją i sunie wprost na gmach Chemii.

— Stop! — komenderuje „Krzysztof“. Droga wolna. Lecz gdzie ludzie? Nie ma nikogo. Żołnierze wystrzelali już amunicję. Bez amunicji nie można atakować. „Krzysztof“ czeka aż dziesięć minut z rzadka ostrzeliwując z erkaemu niemieckie strzelnice. Czekają na ludzi, którzy mają za samochodem pancernym wdrzeć się na Uniwersytet. Napróżno! Nie przychodzi nikt. Natomiast Niemcy wytaczają działko pepanc. Jest zbyt wąsko, żeby móc zawrócić.

— Tylny bieg! — pada komenda „Krzysztofa“ — Pełny gaz!

„Szary Wilk“ cofa się pośpiesznie i... wali w gazową latarnię która zgina się jak słomka. W samochodzie szofer uderza głową w ścianę, załoga się przewraca. Szofer zemdłał. Krzysztof zostawia erkaem i rzuca się do kierownicy. Czas najwyższy. Pierwszy pocisk z pepanca nie trafia, przechodzi obok auta. Drugi narusza kopułę. Ale „Krzysztof“ zdążył już wyprowadzić samochód. Daje gazu i, nim Niemcy zdołali dać trzeci strzał, wjeżdża w Sewerynow i znika im z celownika.

Na ulicy pozostaje sześciu zabitych. Rannych około trzydziestu.

Ostatni atak na Uniwersytet również się nie udał. Pech, fatalny pech! A może niezaradność? Jedno jest pewne: spodziewane cekaemy nie odezwały się do końca.

Wasilewski

Jacek Woźniakowski

O społecznej użyteczności dzieła sztuki

3.

Do jakiego stopnia subiektywizm danych odbiorców wyznacza granice użyteczności społecznej dzieła?

Zanim postaramy się bodaj trochę rozświetlić tę sprawę, czas najwyższy odpowiedzieć na pytanie zasadnicze: dotychczasowe rozważania służyły mu za rodzaj wstępu. A więc: co właściwie rozumiemy przez „użyteczność społeczną“ dzieła sztuki? Najprzód to słowo: społeczna. Czyli przeznaczona dla pewnej zbiorowości. Niezależnie od tego, czy na tę zbiorowość patrzeć będziemy jako na zbiór jednostek, czy też jako na „układ spoiwy“ — stwierdzić musimy, że dzieło sztuki odbiera się indywidualnie. Jakaś specjalna „psychologia zbiorowości“ będzie tu działać tylko w wypadkach wyjątkowych (np. reakcja tłumu na pieśń, sztukę teatralną czy poemat), które pominiemy. Jednak „rzeczywistość psychiczna nie jest archipelagiem wielu samotności“, jak mówi Jules Romains. Bardzo możliwe, że zasadniczym pierwiastkiem użyteczności dzieła sztuki dla danego zespołu, jest poczucie wspólnoty przeżycia, wywołanego przez dzieło. To poczucie wynika z tożsamości najważniejszych elementów przeżycia u poszczególnych członków zespołu.

Zapewne też przeżycie jednostki w grupie wzbogaca się o to, co mogą jej udzielić innej ednostki. Nie zmienia to jednak faktu, że u podstawy tych zjawisk zespołowych leży indywidualne zetknięcie się dzieła i człowieka. Ten zrozumiały dla wszystkich „wyraz“, którym artysta „przemawia“ do społeczności, nabiera znaczenia dopiero w pryzmacie indywidualności artystycznej i przeznaczony jest do indywidualnego odbioru, który mu to znaczenie — w pewnym sepsie — poraz drug inądaje. Dlatego wydaje mi się, że możemy tu powiedzieć: użyteczność społeczna oznacza korzyść jak największej liczby indywidualnych jednostek.

A teraz słowo „użyteczność“, które powyżej utożsamiliśmy ze słowem „korzyść“, bo o nią tu przecie chodzi. Jaki jest — subiektywnie, z punktu widzenia odbiorcy — „przyrodzony“ cel dzieła sztuki?

Wywołanie przeżycia estetycznego. Możliwie największą więc korzyścią, jaką może dać nam dzieło sztuki, jest możliwie najsilniejsze przeżycie estetyczne. Nie miejsce tu na jego analizę. Określimy je najszerszej, jako zadowolenie, płynące z bezinteresownej kontemplacji przedmiotu, postrzeganego zmysłowo. (Wszystko jedno, czy wrażenie zmysłowe odtwarzamy, czy też mamy je dane bezpośrednio). To określenie jest chyba wspólnym mianownikiem wszystkich nie mał teorii estetycznych. Mówiąc o „przeżyciu“ i „kontemplacji“ zgodzimy się — jeśli uznajemy istnienie materii i ducha — że chodzi tu o jakości natury pozamaterialnej. Zmysły grają dla nich niezbędną rolę pośredników. Wiemy o tym, że wartości, stanowiące istotę kultury, to właśnie wartości duchowe. Oto jak precyzuje Carrel, w sposób negatywny, znaczenie tych specjalnych dóbr duchowych, jakimi są dobra estetyczne: „Głupota i smutek cywilizacji obecnej wpływa, częściowo przynajmniej ze zniszczenia elementarnych form uciechy estetycznej w życiu codziennym“. A oto pozytywna, potężna synteza św. Tomasza: „Nikt nie może żyć bez rozkoszy. Dlatego ten, kto jest pozbawiony rozkoszy duchowych, przechodzi do cielesnych“. Tak więc — jak obowiązkiem społecznym artysty jest przede wszystkim, aby był dobrym artystą, tak też dzieło sztuki najlepiej spełnia swą rolę społeczną, będąc dobrym dziełem sztuki. Inna jest rola afisza, inna obrazu; poematu nie można klasyfikować według tych samych norm, co tyradę wiecową. Trzeba o tym pamiętać, kiedy mowa o kryteriach, jakie ma stosować „dysponujący“ przy wyborze w ogromnym materiale, który mu dają artyści. Wspomnieliśmy już, że dopiero czas pozwala należycie ocenić dzieło i postawić je na właściwym miejscu. Wiemy, że Rembrandt umarł w nędzy, Norwid nie cieszył się uznaniem współczesnych, Szymanowski do dziś dnia spotyka się ze sceptyczną nieufnością większej części słuchaczy. Jest to chyba przestroga przed zbyt apodyktycznymi sądami i zachętą do jak największej skromności i liberalności w decyzjach. Przestroga

i zachęta — nawet dla fachowców, którzy te sprawy powinni rozstrzygać; cóż dopiero dla urzędników, którzy tak często o nich wyrokują.

Ograniczyliśmy powyżej dzieła literackie, zawierające treść pojęciową, od innych dzieł sztuki. Trzeba dodać, że przeżycie estetyczne danego odbiorcy może zabarwić się mniejszą lub większą dozą „literackości“ także w związku z innymi gałęziami sztuki. Zależy to od różnych cech psychicznych odbiorcy, od stopnia jego kultury itd. itp. Zwłaszcza malarstwo często bywa traktowane jako „pismo obrazkowe“, „wyrażające“ tę czy inną „myśl“. Przeżycie estetyczne w tym znaczeniu, w jakim je określiłem, jest jedynie rdzeniem kompleksu przeżycia, wywołanych kontaktem człowieka z dziełem sztuki. Kiedy rozważamy praktycznie wpływ dzieła na psychikę ludzką, nie możemy pominąć różnych skojarzeń ubocznych i wtórnych, jakie ono wywołuje. Jeśli te zjawiska zachodzą w jakimś środowisku nagminnie, według mniej więcej ustalonych reguł, musimy wziąć je pod uwagę, kiedy mowa o społecznym oddziaływaniu sztuki. Dlatego — mówiąc o „pojęciach“ autora, będę miał na uwadze albo myśli, wyrażane przez niego explicitie, albo przypisane autorowi dzięki typowym, chronicznym skojarzeniom umysłowym lub uczuciowym odbiorców.

Sprawa jest względnie łatwa i prosta, jeśli pojęcia autora są w zgodzie, lub przynajmniej w stosunku obojętnym, z poglądami dysponującego; a więc w wypadku, który rozważamy, z zapatrywaniami przedstawicieli państwa. Rzecz komplikuje się, jeśli „wyrażone“ przez artystę poglądy są sprzeczne z zasadami, wyznawanymi przez państwo. Można przecie wyjść z założenia, że wprawdzie dzieło sztuki jest wartościowe z punktu widzenia artystycznego i jako takie może kiedyś spełnić cenną rolę społeczną, ale w danej chwili i miejscu wpływ jego jest negatywny.

Jednak pewien praktycznie osiągalny ideał, do którego powinno się chyba dążyć, jest ten — aby w sprawie ewentualnej negatywnej wartości społecznej dzieła sztuki mogła się wypowiedzieć opinia publiczna za pośrednictwem swych organów: sądownictwa. (Taki stosunek opinii i sądownictwa też jest ideałem). Komentator konstytucji angielskiej, prof. Amos, tak mówi o wolności prasy: „W żadnym kraju cywilizowanym prawo czy opinia publiczna nie pozwalają mówić lub drukować wszystkiego, co się komu podoba, bez żadnego ograniczenia; słowa mogą być równie okrutne i wrogie i równie zakłócać porządek, jak czyny.

Mutatis mutandis — można te słowa zastosować do wolności literatury. To jest chyba praktycznie osiągalny ideał rozstrzygnięcia, w granicach ludzkiej omyłności, konfliktów między artystyczną wartością dzieł sztuki a ich społeczną szkodliwością. Owe konflikty, jaskrawe w minioniej epoce, będą zapewne coraz rzadsze — choćby dlatego, że coraz bardziej zaciera się geograficzne i stanowe różnice kultur i pojęć.

Dopełniliśmy tu drugi rozdział naszych rozważań. Wróćmy teraz do zagadnień rozdziału trzeciego.

Stwierdziliśmy, że dzieło sztuki, artystycznie dobre, może być społecznie szkodliwe. Musimy stwierdzić, że zdarzają się też dzieła mierne o znacznej wartości społecznej, ograniczonej — rzecz prosta — w czasie i przestrzeni. Dzieła takie nie są wieczne ani powszechne, ale jednak są i należy pewnością z ich wpływem korzystać. Dużo było takich wierszy pod okupacją, dużo obrazów w czasach niewoli. Czy przeczy to zdaniu, które napisałem powyżej: „Dzieło sztuki najlepiej spełnia swą rolę społeczną, będąc dobrym dziełem sztuki“? Wydaje mi się, że nie. Widzieliśmy bowiem, mówiąc o „literackości“ dzieła, że przeżycie z nim związane może być bardzo złożone. Trudno jest mówić czasem o przeżyciu estetycznym, nawet w najszerszym sensie tego słowa, kiedy wrażenia odbiorcy mają mniej wspólnego z dziełem i właściwym mu formalnym środkiem oddziaływania, a więcej z jakimś wewnętrznym mechanizmem skojarzeń, który wystarczy potracić od jakiegokolwiek strony, aby zaczął działać. Jednak powtarzam: celem dzieła sztuki, z punktu widzenia odbiorcy, jest wywołanie przeżycia estetycznego. Wydaje mi się, że im wyższa wrażliwość i kultura artystyczna odbiorcy, tym mniej owe uboczne, czy też wtórne produkty przeżycia estetycznego zasłaniają samo przeżycie. Dochodzi się bliżej do realizacji owej zasady, wyrażonej przez Delacroix: „Trzeba widzieć piękno tam, gdzie artysta chciał je umieścić“. Przejście się szukać zaspokojenia poza dziełem, we własnej wyobraźni. Im ściślej bowiem „dopasowane“ jest przeżycie do swego przedmiotu, tym jest pełniejsze i tym powszechniejsze. Mocniej może oddziaływać wielka lekcja szczerości, głębi i harmonii, jaką dla najtajniejszych pokoleń naszego „ja“ jest każde prawdziwe dzieło sztuki.

W pierwszym rozdziale wspomnieliśmy o zmienności kryteriów estetycznych i związkach artysty ze społecznością, o wątpliwie różnych, w rozmaitych epokach. Mimo nieuchronnego konfliktu

Jak odpowiadać dzieciom na drażliwe pytania?

Przeklinam uroczycie tego, kto wynalazł określenie „nasi milusińscy“. Zawiera ono bowiem w sobie nieme oskarżenie — oskarżenie o głupotę. A tymczasem dzisiejsze dzieci przeważnie nie są półgłówkami, orientują się dobrze, idą z postępem i rozumieją ducha czasu.

Zaczarowany świat baśni straci dla nich zupełnie powab, przestanie oddziaływać na wyobraźnię, jeżeli nie dokonamy w treści bajek pewnych zmian, które zapobiegną ich dezaktualizacji.

Zmiany będą może bezlitosne i brutalne, ale nie sposób ich uniknąć. Opowiadajmy naszym dzieciom, wieczorem, kiedy nad światem panuje mrok, a na dworze sypie śnieg, nowe wersje starych bajek. I tę, o kocie w butach, której dostał w grudniu na przdyział brezentowe pantofle i odmroził sobie łapki. I tę, o dziewczynce z zapałkami, która sprzedawała również amerykańskie papierosy i utrzymywała z tego swą trzyosobową rodzinę, zatrudnioną na państwowych stanowiskach. O Sinbad — Żeglarzu, który przewoził towary UNRRA, broniąc ich bohatercko przed szabrownikami, o tym, jak przepływał koło Góry Magnetycznej przyciągającej wszystkie puszki z artykułami luksusowymi, a pozostawiającej śladzie i groch. O księżniczce, która nie chciała spać na ziarnku grochu i została zaangażowana do magazynowania ponemieckich materacy w Tymczasowym Zarządzie Państwowym. O Janku Wędrowniczku, który jedenaście razy jeździł jako repatriant na Dolny Śląsk, aż go w końcu rozżałona M.łicja zamknęła za szaber. O szcurołapie z Hammeln, który grał na flecie wyprowadzał szczury z miast, a za okupacji został volksdeutsch'em, wyjechał do Rzeszy. Grając obecnie w orkiestrze jazzowej, w pewnym dancingu, gdzie jego rodaczki bratają się z alianckimi żołnierzami. W związku z tym. Polskę nawiedza plaga szczurów, którą dopiero zażęgnuje pewien pomysłowy człowiek, wygrywając bez przerwy w szaszczurzonych osiedlach „Piosenkę o mojej Warszawie“, co zmusza te muzykalne stworzenia do ucieczki. O królownie śnieżce, której działalnością zainteresowało się Biuro Odbudowy Stolicy, chcąc zbadać, skąd otrzymała przdydział szkła na trumnę, oraz redukując

dla braku kredytu w okresie zimowym liczbę strzegących jej karzełków z siedmiu do dwóch. O Klitusiu-Bajdusiu, który pracuje w Powiatowym Urzędzie Informacji i Propagandy, komponując hasła i slogany propagandowe. O dużym, złym Wilku, który pisuje do „Dziś i Jutro“, strasząc rozmaite małe i większe świnki.

Prócz bajek, których pewną modernizację zaproponowaliśmy powyżej, należy zmienić niektóre metody pedagogiczne. Straszanie niegrzecznych dzieci oddaniem na naukę do szewca jest nieistotne, wobec dzisiejszych zarobków rzemieślniczych. Natomiast zagrożenie krnąbrnemu chłopcu, że zostanie profesorem uniwersytetu i będzie musiał żyć z pensji, powinno bezwarunkowo osiągnąć swój cel.

Ale to nie wszystko. Dzieci zadają swym rodzicom i opiekunom rozmaite pytania natury politycznej, które pozostawione bez odpowiedzi wzbudzą tylko w dziecięcej duszyczce ferment niezdrowej ciekawości. Oto przykłady rozmówek z dziećmi, które interesują się polityką.

— Mamo, co to jest szczyry demokrat?

— To zależy, moje dziecko, w jakim klimacie — nasz naprzyk?ad, wytworzył nowy typ bojownika demokracji, który jest jak Zawisza.

— A co to jest reakcjonista?

— To taki człowiek, do którego mówi się proszę pana, a nie — obywatelu.

— Mamo, a co to jest wolność prasy?

— Widzisz, syneczku, już sam Wieszc napisał, iż tym się Polska chlubi, że co PAP napisze, to prasa polubi. Pozatym, może oczywiście każdy pisać co chce i krytykować swobodnie, zwłaszcza rząd w Hiszpanii oraz nieudolność systemu rozdzielczego w aprowizacji.

Oczywiście, odpowiadanie na powyższe pytania dzieciom powyżej 21 lat jest znacznie uproszczone, z uwagi na posiadane już przeważnie w tym wieku t. zw. oblicze polityczne. Pytającego kieruje się przede do lektury organu jego kierunku. Jeżeli niekiedy odpowiedzi tam nie znajdzie, to odpowiedzialności nie bierzemy na siebie.

„Wilk.“

jednostki i grupy, konfliktu którego „istnienie jest pewną formą bytu“ (J. Gw. Pawlikowski), ów związek bywa „organizacyjny“ — w społeczeństwach takich, jak średniowieczne, w których funkcje każdej jednostki w stosunku do zbiorowości są wyznaczone naturalnie, przez światopogląd i organizację. Im bardziej jaskrawo i sztucznie przeciwstawiało się w ciągu dziejów jednostkę społeczeństwu, im dalej brnęło się w światopogląd subiektywistyczny, tym częstsze były zgrzyty i niezrozumienia, tym liczniejsze ekskluzywne kapliczki, które miały monopol na jakąś twórczość. W związku z tym można powiedzieć, że każde społeczeństwo ma takich artystów, na jakich sobie zasłużyło.

Kiedy się mówi o sztuce dla elity i sztuce dla mas, ma się na myśli różne typy odbiorców. Tak samo, jak konieczne są odczyty popularne, tak samo potrzebna jest sztuka „stosowana“, do specjalnych celów, przygotowująca odbiorców do kontaktu z dziełami trudniejszymi, z wartościami mniej dostępnymi. Jednak — jeśli nie jest naturalnym sposobem wypowiedzi danego twórcy — taka produkcja jest zawsze boczną, niższą gałęzią drzewa sztuki i nie może być uważana za normę i stawiana jako przykład. Normą powinno być oczywiście podciąganie, a nie obniżanie, a ideałem odbiorcy — z punktu widzenia społecznego — taki przedstawiciel społeczeństwa, który tym więcej korzyści wyciągnie z dzieła sztuki, im lepsze jest ono artystycznie.

To jest konkluzja trzeciego rozdziału. Innymi słowy — w związku z tym, cośmy powiedzieli na początku: ów „ideal“, to odbiorca, umiejący przeżyć najgłębiej te dzieła, które w perspektywie historycznej staną się nieprzemijające i powszechne. W tych dwu cechach zawiera się wykładnik ich wartości i zarazem odbicie najgłębszego sensu istnienia rodzaju ludzkiego. Odnaleźć takie dzieła wśród tysięcy i przeżyć je prawdziwie — to nie tylko sprawa wrodzonych dyspozycji, ale sprawa długiej, cierpliwiej i wiernej pracy. Trzeba nauczyć się słuchać, uważnie i w skupieniu, tajemniczego języka, którym przemawia sztuka. Ma on własne swoje prawa i formy; mówiliśmy o tym dosyć szeroko w ciągu naszych rozważań.

Jakże będzie konkluzja całości? Sądzę, że zarysowuje się dosyć jasno, jako wniosek z kolejnych odpowiedzi na trzy główne pytania, postawione na wstępie. Jeśli odrzucimy mniej lub więcej efemeryczną rolę dzieła sztuki jako afisza, tu by amplifikującej itd., jeśli postaramy się zbliżyć do tego co jest istotną — więc powszechną i trwałą — jego wartością, to wydaje mi się, że możemy zaryzykować powtórzenie w skrócie i uproszczeniu, naszych kilku twierdzeń. Pradziwie społeczna rola artysty, to być dobrym artystą. Podkreślam raz jeszcze: nie wirtuozem, ale człowiekiem, który posiada nie tylko narzędzia kształtowania dzieła, lecz i bogaty materiał wewnętrzny do ukształtowania. Konsekwentnie: wartość społeczna dzieła, to jego wartość artystyczna. Jeśli tak nie jest w praktyce, powinno się do tego dążyć. Wreszcie — pełnowartościowy odbiorca, to ten, który ma podobną zdolność współodczuwania — poprzez dzieło — z artystą, jak artysta ze społecznością. Krąg przepływów: ludzkość — artysta — ludzkość, zamyka się w chwili, kiedy odbiorca przeżył dzieło sztuki. A wartość indywidualna i społeczna tego współodczuwania, którego wyrazem jest przeżycie estetyczne? Pasja do rzeczy pięknych, to szlachetna pasja. Człowiek, który prawdziwie przeżyje rzecz piękną, nie odejdzie od niej takim samym człowiekiem, jakim był przedtem. Jest takie zdanie Mauriaca, które odnieść można zarówno do jednostki, jak do zbiorowości: „Sztuka życia polega na poświęcaniu niskich namiętności — namiętnościom wyższym“.

Jacek Woźniakowski

KATECHIZM

Najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży (86 str., wydanie z 1945 r., rachunek sumienia, ministrantura, 16-żanec — cena 10 zł) wysła w paczkach za pobraniem lub po wpłaceniu na P. K. O. Nr konta w Łodzi VII — 603: ks. dr. Win. Helenowski, Gostyńin, woj. Warszawskie.

Pł Zenon Czp., Sopoty. — Artykułu o bombie atomowej nie zamieścimy.

P. Nela K., Kolonka. Z wierszy „Droga Golgoty“ nie skorzystamy.

P. Bogdan B., Lublin. Nie odpowiada nam tematyka nadesłanych wierszy. Prosimy o nadesłanie większego zbioru Pańskich utworów.

P. Stanisław Pank., Białystok. Stanowczo wolimy utwory powojenne. Z nadesłanych nie skorzystamy. Wiersz „Nowe drogi“ — „Przybosiowi w odwet“ jest zbyt uproszczonym zagadnieniem. Oceny formanej Pańskich prac nie podejmujemy się.

Wojciech Kętrzyński

Furmanka zapadła w las. Koła przestały dudnić po szosie, lecz miarowo skrzyślały po twardym śniegu. Las szumiął przeciągle, snując dyskretną melodię pod cudną śnieżną bajkę, którą oglądaliśmy oczarowani. W miarę posuwania się w głąb lasów opadało powoli wrażenie wielkowiejskie, rozładowywało się napięcie spowodowane niebezpieczną podrożą, która wreszcie dobiegała końca. Minęliśmy tereny słabiej czy mocniej obsadzone przez Niemców, przechodziliśmy przez rewizje, przekraczaliśmy sztucznie nakreślone granice, obecnie zapadaliśmy coraz bardziej w kraj partyzantów.

Narastającą falą zaczęły mnie ogarniać wspomnienia. Od rozstania się z oddziałem minęło sześć długich miesięcy, sześć miesięcy potwornie ciężkiego pobytu w mieście. Sześć miesięcy konspiracyjnego borykania się wśród szalejącego wówczas terroru. Co raz to kogoś ubywało, ten poległ w akcji, tego zaarrestowali, tamtego złapali na ulicy. Dziś wracałem spowrotem z poczuciem, że lepiej czy gorzej spełniona misja skończyła się. Wracałem z uczuciem ulgi, wdychając wraz z zapachem żywicy — nowe poczucie wolności. Wspomnienia narastały jedno po drugim. Znajome twarze, sytuacje, chwile rozstania, tam w lasach białostockich. Kogóż dziś zastanę? Czy dużo ubyło? Czy wiele się zmieniło w naszym partyzanckim życiu?

Przezuwałem, że wiele, z tonu rozmowy z moim woźnicą sądząc, „zieloni“ w ciągu tych sześciu miesięcy zyskali sobie poważanie nie tylko wśród ludności, lecz też i wśród polujących na nich Niemców. Wskazując na otaczający nas las — woźnica zakomunikował nam uroczysto: „Te lasy, to już nasze, tu już Niemców nie było“.

Po parogodzinnej jeździe przebrnęliśmy przez lasy. Mrok zapadł i furmanka sunęła powoli przez monotonną, zlekką krzakami porośniętą równinę. Zdaleka zamajaczyły mdłe światła. Po chwili wjechaliśmy między zabudowania. Widocznie wieś była duża, bo spowrotem koła zaczęły turkotać po kamieniach.

Tadeusz Gajcy (Karol Topornicki)

Opowieść z innego świata

Śnieg jak posąg ramionami trzymał chmury kredkę i wychodził świat długi bardzo jak rzeka lub szyna w drzewach krągłych jak paciorkach lamp.

Woda ciekła, gdy cedrową arką jak zabawką — człowiek świat nawiedził i leżące pod ziemią w letargu budził rysie, sarny i niedźwiedzie.

Potem palcem wskazującym dotknął piersi własnej otulonej liściem i wywoła z niej dobrą samotność i lę pierwszą na ciemny policzek.

Płactwo nieme dotychczas jak ogród zwolnił z łodzi, kwiat ulepił z mułu i cień trysnął z pod ziemi, gdy w mroku dotknął nieba szumiącej kopuły.

Świergotał śnieg już prędzej góry przenosił i las, a on oczy dziękczynne jak ręce wtapiał milcząc w wyblakły czas.

Przerażony zarysem tylko głębi mocnej, co ciałem targa, grudki serca zielonym motylom pozazdrościł zgubiony w barwach.

Nie mógł. Słowem tę przepaść mierzył, wiosło skruszył o fali skręt, kiedy w górze jak okięt lub zwierzę zawarczała smolista brew.

Zwarte czoło jak proporzec podniósł, a już grom szedł po dźwięcznych kamieniach i z łaskawej podawał mu dłoni słodki napój i tym go napełniał.

Po raz pierwszy ramion dwojga sterciał powietrze bluźnierczo, i nogi jak łuk bramy zaryły się w krę ziemi, której zwiastowano ogień.

W P O L U

Koło nas zarysował się cień kościoła, widocznego na tle jasnego gwieździstego nieba. Nagle z za węgla domu wyłoniło się parę postaci. Księżyc odbił się zimnym blaskiem na stali karabinów. Nie oswobodzony jeszcze z warszawskich oddechów sięgnąłem instynktownie po broń.

„Stój! Kto idzie!“

Światło latarki elektrycznej ogarnęło całą furmankę. Trzeba było paru sekund, by do świadomości przytłoczonej wrażeniami okupacji dotarło pojęcie — to swoi, to Polacy.

Powoli oczy przyzwyczylały się do światła. Było ich czterech. Twarze zaróżowione od mrozu, z pod zielonych rogatywek błyszczą czujne oczy, a nad nimi świeci — metalowy wojskowy orzełek.

Wstrząs był zbyt silny. Dopiero po paru minutach potrafiłem wyjęzyczyć hasło i nazwę oddziału, do którego jechałem. Mój Boże! Wyjechałem z Warszawy w momencie największego nasilenia terroru. Co raz to na murach pojawiały się krwawe plakaty. Co raz to po ulicach rozlegały się salwy egzekucyjnych plutonów. Co raz to nagle i niespodziewanie w takt głuchego loskotu „filipinek“ rozlegał się jazgot pistoletów, Steńców, Bergmannów. Bramy były zasadzonymi. Ulice nerwowe, czujne co raz to pustoszały, by dać miejsce ostrożnie, ociężałe kroczącym kilkunastu osobowym niemieckim patrolom. Żadna noc nie była spokojna, żaden dzień bezpieczny. Miasto wrzało i gotowało się pod ciężką przykrywą brutalnej, potwornej przemocy.

Przedem mną stał polski patrol, w polskim mundurze, z polskim orzełkiem na czapkach. Ta ziemia, po której kroczyłem, była wolna, w o l n a !

Nie wiem czy mnie upiła wódka, którą mnie poczęstowali poczciwi chłopcy z patrolu, czy też upiła mnie wolność w zbyt wielkiej dawce. Lecz dalsza podróż odbyła się lotem błyskawicy. Wydawało mi się, że nasza stara szkapka zamieniła się w doskonałego kłusaka. Wszystko migało naokoło mnie.

Na pożegnanie kaprał, dowódca patrolu, poczęstował mnie garścią ostatnich wiadomości:

„Tak, tak — to już niedaleko stąd.“

Zaciągnąwszy się dymem otrzymanego papierosa, dodał: — „Trochę was potrzebili ostatnio, mieliście ciężką „drakę“. Tak, tak, nawet tam paru zostawiliście w piaci. Waszemu komendantowi też się coś oberwało. Teraz odpoczywają. No, szczęście Boże...“

Im bliżej było do celu, tym mocniej łomotało serce. Chłopcy mieli walkę. Nie pierwszą przecież od rozstania. Kogóż ja z nich, ze starych zastanę, tak już ich mało było wówczas, w lipcu. Myślałem o tych licznych listach, które wiozę ze sobą z całej Polski, jako prezent gwiazdkowy. Może niektóre z nich dotrą za późno, może słowa szczere, myśli serdeczne nie znajdą tych, do których były skierowane. Choć niepokój o życie towarzyszy trwał przecież od chwili rozstania, to otrzymana wiadomość o niedawnej walce wzmożyła go stokrotnie.

Świtało już, gdy głośny, ostry okrzyk zatrzymał naszą kawalkadę. — Byliśmy u celu. Po chwili twardym mocnym uściskiem witaliśmy się z dowódcą warty. Z dumną radością w oczach pokazywał mi rozstawione posterunki alarmowe, ustawiony na pozycji nowy lśniący rkm.

„Mój ty Boże — tyle czasu, tyle czasu. I tyle się zmieniło. Pamiętacie te czasy, gdyśmy się ciasno gnieździli w jednej stodole i w cichociemni podglądaliśmy bacznie przez szpary, czy aby się gdzie szkop nie pokaże. A teraz...“

I szerokim gestem pokazał rząd zabudowań, w których zakwaterowany był nasz oddział. Poczmy z zadowoleniem stuknął po nowej „pepeszy“ i dodał — „no i nie takie dziadowskie uzbrojenie, troszeczki się dorobili przez ten czas“. O, tu kwatery Szczęsnego — a tam, na końcu wsi — komenda“.

Po chwili milczenia dodał tonem rzeczowym:

„Było trochę „poruty“. Raz szkopy w nocy napadli na oddaloną trochę od kompanii kwatery sztabu. Cud boski, że żywa noga z tego wyszła. Ale posiekali nieźle. „Hrabiego“ na sito zrobili, osiem dziur, ale się wylize. Komendantowi też się oberwało trochę. No, ale przepędziliśmy ich solidnie. Tylko że nam na odchodnym jeszcze Krawczyka, wiecie, brata porucznika Jura, zabili. Porucznik jeszcze do siebie nie doszedł. Ot, szkoda chłopaka!“

„A parę dni temu to nawet generalna bitwa była. Kropidło miał okazję się popisać ze swoim ckm. Toż on go na plecach z pod Warszawy przyniósł. Była jatka, oj była! Ale i nam się dostało. Polanieckiemu oko odstrzelili, adiutanta Wrońskiego — na durch, przez p'lico, i jeszcze po łapie, bo niepotrzebnie nadstawiał, ale też się wylize. Janka też oberwała, ale trzyma się dobrze, zuch dziewczyna“.

Słuchałem chciwie i łapałem wszystkie szczegóły tej chaotycznej opowieści. Padały nazwiska jedno za drugim, ten żyje, ten był ranny, tego już dawno pochowano. Życie i śmierć szły tu obok siebie ot poprostu — jak sobota koło niedzieli. Bez patosu, bez wielkich słów.

Moje pojawienie się na kwatery dowództwa wywołało sensację. Byłem witany jak gość z innego świata. Dla mnie tamten świat, z którego przybywałem, wydawał się piekłem, ich jednak wiązało z życiem — przeszłością, wspomnieniami ludzi bliskich. To też listy, które chciałem rozdać na wigilię, rozdrapali poprostu siłą. Połem pytania, tysiące pytań, o ludzi, o życie, o wypadki. Co tam myślą, co robią — tam, na świecie. Ja odżywałem w nowej atmosferze. O ile pełniejsze, o ile piękniejsze było ich życie wśród prostej atmosfery czynu, w pełnym poczuciu spełniania najoczywistszego obowiązku. Moje opowiadania natchnione grozą okupacji, tragedją męczeństwa, stawały się dziwne jałowe. Wszystko, co się tam działo, smakowało nonsensem. Było koszmarem. Tu wśród innych niebezpieczeństw, innych niewygod rodziła się przyszła Polska, Polska prosta i bez kompleksów. Tu rodziła się niepodległość bez intryg, bez kręactw,

bez międzynarodowych gier, wielkich słów i wielkich świństw.

W oddziale wrzało od przygotowań świątecznych. Co i raz od samego rana wyjeżdżały patrole żywnościowe. Kwaternistrz osobiście pojechał wybrać kwatery świąteczne, gdzieby w zasłużonym spokoju można było dzień świąteczny spędzić. Język wojskowy na odprawach zastąpili dowódcy językiem gospodarczym, w tajemnicy przed innymi każdy pluton planował — swoją wigilię.

W zacisznym kącie izby kończyłem moją misję — składałem raport z niemal półrocznej działalności w stolicy.

„Straty osobowe co raz to większe, dekonspiracja z czasem powiększa się. Za to napięcie ideowe wzrasta, ludzie dojrzejewają w tym ogniu. Wyniki? Wyniki zbyt małe, gotujemy się w sobie. Małość, prywatnie, osobiste zawiści. Wielkie idee są, tak, na papierze, ale gdy przychodzi co do czego wówczas polityka...”

„Idą wielkie wypadki międzynarodowe. Nie uświadamiamy sobie sami, ku czemu idziemy. Na końcu tego wszystkiego — kataklizm, czy cud boski?”

„No, a wysiłek zbrojny — tu potrzebni ludzie, broń, propaganda...”

„Tak, komendancie, ale tam jest błędne koło. Opór społeczeństwa rośnie, za nim idą co raz to gwałtowniejsze represje, za represjami idą zamachy. Broń, a municja, wszystko koncentruje się w stolicy, nasza akcja pozostaje na marginesie, rekwizyt — stolica stała się dziś nie tylko symbolem, lecz i centrum oporu. Tam dziś wszystko zmasowano, wpływy polityczne, dowództwo, tam dziesiątki tysięcy ludzi czeka na odwet...”

„Tu, w polu, macie siłę, żywą siłę, ale dziś w masie czynnik emocjonalny wzięł górę. Jest wprawdzie Komenda Główna, ale to sfinks o stu obliczach, są dowódcy, ale ci czekają na rozkazy, żyjemy pod znakiem chochoła...”

Resztę czasu spędziłem wśród żołnierskich pogwarek, oddychając pełną pierśią życiem i swobodą. Z rozkoszą zrzucałem z siebie wszelkie pozostałości mieszczaństwa, starając się wczuć spowrotem w dawny tryb partyzancki. Czuję się jednak dziwnie nie swój, czuję brak tych paru miesięcy wspólnych przeżyć, czuję, że mam coś do nadrobienia wobec tych starych towarzyszy pierwszych walk.

Powoli zbliżał się wieczór wigilijny. Według przewidzianego planu oddział nasz miał nocą pomaszerować do pobliskiego kościoła parafialnego, gdzie wszystkie oddziały miejscowego zgrupowania miały się spotkać na pasterce. Po pasterce krótki odpadek u pułkownika, dowódcy zgrupowania podczas gdy oddziały rozchodzą się na kwatery świąteczne, poczym uroczystości wewnętrzne.

Nocą, wśród bajkowego krajobrazu zaśnieżonych lasów i pól dotarliśmy do wiejskiego kościoła, dobrze już ubezpieczonego. Nasz ckm, duma oddziału, zajął też wyznaczone stanowisko.

Urzucony patrzyłem na coraz to nowe oddziały, ustawiające się w nawie kościelnej. Tu, „wśród nocnej ciszy” i wśród szczyku oręża mieliśmy przeżyć raz jeszcze to wielkie święto miłości — tu w małym wiejskim kościółku w oazie spokoju wśród szalejącej na świecie wojennej zawieruchy — wznosiły się do Boga modły — o wolność i pokój.

Bóg się rodzi — moc truchleje

Do miarowego odgłosu kroków czuwających wart, do słów kapłana, do dźwięku kościelnych dzwonów dołączył się śpiew z głębi piersi, z samego serca zbranej i klęczącej braci żołnierskiej.

O Panie, któryś jest na niebie

Wyciągnij sprawiedliwą dłoń

Wołamy z wszystkich stron do Ciebie

O polski dom o polską broń...

By stał się twierdzą nowej siły

Nasz dom — nasz kraj...

Msza była skończona. Oddziały rozchodziły się powoli w różne strony. Oficerowie drobnymi grupkami ciągnęli do wsi, gdzie kwatery stanął pułkownik.

Weszliśmy do dużej izby zastawionej stolami w podkowie. Sala już była wypełniona kilkudziesięcioma oficerami. Rozglądałem się wśród nich z rosnącym zaciekawieniem. Niemalże wszyscy byli ubrani w polskie mundury. Ale za to co za galeria typów. Sienkiewicz by się nie powstydział. Godni potomkowie Kmieciców i Skrzetuskich. Przeważali młodzi, silni, rośli. Ostre twarze inteligentów mieszały się z prostymi, otwartymi twa-

rzami chłopskimi. Tu i tam ukazywała się wąsata postać jak żywcem zdjeta z obrazów Kossaka. Było też i paru starszych, żywcem przypominających Bohunowych towarzyszy, kozackich watażków. Kiedyś, pamiętam, jeszcze w Warszawie powiedział ktoś, że przyjeżdżającego do miasta partyzanta można od razu poznać po oczach, dzikich, twardych nieugiętych. Tak, faktycznie, ci wszyscy ludzie mieli oczy inne niż w mieście, nie takie zmęczone, nie takie wyblakłe.

Do pokoju wszedł niski, krepny pułkownik. Gwar opadł natychmiast —

„Proszę Panów!... W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej mianuję...”. W imieniu Rzeczypospolitej... tu w roku 1943, tu na ziemi polskiej była Rzeczypospolita, wolna ziemia polska. Ten skrawek ziemi, po którym w tej chwili stąpaliśmy był wolny, był nasz.

Tam, w Warszawie o tej godzinie zapadał mrok. Tam w Warszawie nieliczni, zapóźnieni przechodnie ukradkiem i lekliwie przemykali się pod ścianami. Tam w bramach ponurzy gestapowcy czekali w zasadzkach. Tam ludzie siadali teraz do stołów wigilijnych czujnie słuchając,

czy brama nie skrzypnie, czy po schodach nie dudnią ciężkie, wrogie kroki. Tam parę bladych postaci z wypiekami na twarzy pochylił się nad planem miasta — „Ty Stasiu staniasz o tu, koło słupa, Czarny z filipinką tam, koło wystawy, a Marta będzie na przystanku sygnalizować, gdy oni nadjadą...”

A tu, o tej samej godzinie, w chłopskiej chacie, wokół zielonej choiny, gro- no wolnych ludzi w polowych mundurach oddawało cześć nieśmiertelnej Rzeczypospolitej.

Wojciech Kętrzyński

Listy z Krakowa

Przyszedł do mnie pewien inteligentny znajomy i mówi: słyszałem, że napisałeś artykuł. (Nawet go bestia nie przeczytała). Właściwie, pociąg ty go napisał? Nie zdążyłem się obrazić, bo gadał dalej. — Pociąg wy wszyscy razem gazeciarze (sic!) wogóle piszecie? Czy nie odczuwacie błahości, nieistotności całej tej bazgraniny? — Chcesz powiedzieć „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”? odparłem dowcipnie. Mój kochany, wybacz, ale są różne obszary zainteresowań, które dopiero razem wzięte... — Ależ wiem, przeważa mój inteligentny znajomy. Nie chcę wcale, żeby ludzie przestali interesować się Rembrandtem dlatego, że wynaleziono bombę atomową, albo, żeby nie czytali Słowackiego, bo nie dostają chleba na kartki. Nie samym chlebem żyje człowiek. Chodzi mi o coś zupełnie innego. — I puścił się na wzburzone wody takiego mniej więcej monologu.

— Ostatecznie, wszelkie pisanie ma na celu wydobycie na światło dzienne jakiejś prawdy. Paszkwile i bujdy — o tym nie warto mówić. Myślę o pisaniu poważnym. Literatura piękna jest tylko transpozycją w dziedzinę sztuki, jakiejś — choćby najgłębiej ukrytej — prawdy obiektywnej. Literatura naukowa... Wiemy, czym jest nauka. Szukaniem, zdobywaniem, utrwalaniem prawdy. A publicystyka? Słuchaj mnie uważnie. (Chrząknął). W życiu jednostki musi istnieć pewne minimum harmonii między myślą a czynem. Jeśli obywatel X. mówi co innego a robi co innego, będzie jako miedź brząkająca i jako cymbał brząający... choćby mówił rzeczy najprawdziwsze, powiemy o nim, że jest zakłamany. Dlaczego? Bo stosunek między jego gadaniem a jego postępowaniem będzie fałszywy. Wolelibyśmy, żeby nie opowiadał o cnocie, jeśli wiemy np., że kradnie. Otóż jeśli taki sam rozdźwięk istnieje między publicystyką a życiem, to właściwie wszystko jedno, czy gazety mówią obiektywną prawdę, czy obiektywne kłamstwo. Czy tak czy owak będą zakłamanie.

— Ależ tu nie chodzi o jakiejś prawdy oderwane! wrzasnąłem. I wymownym ruchem wskazałem w piśmie „Dziś i Juro” wspaniały tytuł: „Pisać prawdę” — a pod spodem takie zdanie: „ciężko bowiem na nim (tj. na publicyście) odpowiedzialność nawiązania kontaktu między społeczeństwem a dniem dzisiejszym”.

Jednak mój inteligentny znajomy nie dał się zbić z pantafelki i zacerpnawszy tchu, mówił dalej: — Dobrze. Zgadza się całkowicie. Ale to w niczym nie zmienia mojego twierdzenia. Wyobraź sobie poprostu obywatela X., który urządza chwilę introspekcji. (Pamiętaj, że to przykład przejęskrawiony, krańcowy). Mówi więc głośno prawdę o sobie. Coś w tym rodzaju: jestem draniem. Wiem, że to źle. A potem dalej kradnie. Czy uważasz prasę, mówiącą prawdę, za głos społeczeństwa? A to, co się dzieje, za wynik działalności społeczeństwa? Jeśli tak, to kiedy stosunek między słowem i uczynkiem będzie fałszywy — najprawdziwsze spostrzeżenia będą pachnieć tą atmosferą zakłamania, o której mówiłem. Nasz bijący się w piersi obywatel X. jest zakłamaniec bardziej wyrafinowanym, niż przypuszczaliśmy na pierwszy rzut oka. Chyba, że znajdziemy inne wytłumaczenie: albo działa pod przymusem, albo jest chory na zanik woli, albo na rozdwojenie jaźni. Mniejsza zresztą o diagnozę; czy tak czy owak — atmosfera będzie zakłamaną. Napisziesz, dajmy na to, że coś ci się podoba. Albo, że ci się nie podoba. Jesteś — powiedzmy — głosem spo-

łeczeństwa. Co z tego? Odpowie ci najwyżej w innej gazecie ktoś inny. Ze się z tobą nie zgadza. Albo, że się zgadza. I tak porozmawiacie czas jakiś, gazeta z gazetą. Pytam się, co z tego? Może ten i ów przeczyta... Inny znów pomyśli: popisz, popisz — i przestaną... —

Skorzystałem z zadyszki mego znajomego, żeby się zachnąć. Jednak zanim zdołałem mu odpowiedzieć, porwał kapelusze i wybiegł żyło, żeby zdążyć do domu przed szperą. Odpowiadam więc tą drogą. Uważam, o inteligentny znajomy, że nie masz racji. Całe porównanie społeczeństwa z obywatelem X. jest mo-

Jerzy Chram Piórkowski

H A H N

Wybiegli spod czternastego na Szucha, zataczając się i płacząc nogami.

Najpierw Orkan z cieniłą czerwona strużką krwi na czasce, tuż za nim z wyciągniętym pistoletem, goniącym drogę, Hipek. Zabawa, Olek i Bolec migali już między słupami drzew, ostrzeliwując się i goniąc do czarnej skrzyni „Mercedesa”, drżące jak w febrze od tłumionych wybuchów motoru.

— Nie zostawiaajcie, nie zostawiaajcie!

To a pięto się ku górze i piąto fałsetem. Głos Hipka spięty był grozą i rozpaczą. Gdy wypadał spod czternastego, miał już na oczach mgłę śmierci. To koniec, przełatywało przez głowę, gdy naprzemian ostrzeliwując się i biegnąc krótkimi, urywanymi skokami, usiłował dopaść do aut. Tam, na rogu, zza zakrętu wytryskiwały naprzeciw zbawcze sylwetki ubezpieczenia. Orkan, ślaniając się, bełkotał nieprzytomnie. Oczy przy tym miał szeroko rozwarte, usta gwałtownie chwytali i zachłystywały się powietrzem niczym ryba przed zaśnięciem. Wciągnęli go gwałtem, bezradną bryłę. Na rogu chwiała się sylwetka Hipka. Czy zdąży? myślał spokojnie Garbaty. Sten emanował ciepłem. Leżący przy biało-czarnej barierze zaporowej esesowiec był teraz oślizgłym, podłym gadem, którego trzeba było koniecznie zdeptać. Pocisk uderzył tuż koło Garbatego i rozpuścił drzewo z bandażem miazgi pośrodku. Rzucił się ku Hipkowi. Ten już zwiślał w ramionach blady i bezwładny.

Chodnik pęczniał od kul. Ogniki strzałów paliły się niemal na wszystkich oknach budynku gestapo. Jeszcze, jeszcze, Garbaty szukał gorączkowo wzrokiem. Jest. Czarne pudło „Mercedesa” ostrzeliwało słońce i kule. Tamci już siedzieli. Słychać było chrypliwe darcie wyrazów. Gdy Garbaty dobiegał do drzwiczek wozu, powłócząc Hipkiem, Bruno skrzyknął ku niemu głosem. Ujrzał wtedy na moment rozbiegane, niespokojnie błędzące oczy Brunona, w których czał się już chłód. Z budynku koszar wyskoczyło na róg dwóch esesowców. Wciągnął Hipka na kolana Zabawie, Garbaty skrzyknął tylko bezradnie głosem. Ujrzał ogień i dym. Potem Brunonem rzuciło do tyłu, wzrok osłupiał na chwilę. Bruno, jakby zasypiając, oparł zwolna głowę na kole kierownicy. Z czoła ciekła krew. Z głębi chrypnął gorący, niesamowity głos Olka: — Bruno, ruszaj, błagam, błagam, ruszaj.

Wybuchy spotężniały. Bruno podniósł głowę i leniwie, jednostajnie kiwając nią jakby na znak potwierdzenia, nacisnął gaz. Sam wparł się gwałtownie w kierownicę, jakby wyczekując stamtąd ocalenia. Nemo, Kastor i Polluks walczyli

jeszcze z patrolem przy barierze zaporowej.

Jakiś cudowny, sprężysty a potężny wyrzut mięśni, szeroki chcący rozedrzeć niebo zamach i postać ciśnięta w chmurę i w zieleń drzew otaczających kasyno gry. To Nemo rzucał granat. Potem skurczony porwał się do przodu, strzelając w ruch. Powietrze zadygotało od kul, wstrząśnięte jak bokser bliski nokautu. Sten zakasłał i zamilkł. A potem Nemo schyłony, chwytając się rękoma za brzuch, przyklekła na asfalcie. Oczy wyolbrzymiały i patrzyły pełne cierpienia na wylot ulicy. A potem był płaski, pachnący słońcem asfalt, tuż przy ustach i coraz dalszy, cichszy krok życia. Tam, w głębi, w przepastnej ulicy podwórza gestapo, grały już motory esesowskich wypadówek. Guma opon piszcziała przenikliwie na wirażu, a postacie w hełmach kurczyły się, przypadając jak piłką. Ale już do Nemo podbiegał Zak. Miał zawsze, nawet teraz, różową, pełną twarz dziecka i szeroko rozwarte, jakby bezradne oczy. Gdzieś z głębi zagrały nowe, urywane serie z poematów. Biegnący esesowcy przylegli ściśle do asfaltu. I znów szeroki, wibrujący w powietrzu gwizd. Na asfalcie zrodził się płomień i dym. Zak obejrzał się do tyłu. „Mercedes” z Brunonem jak posąg wsparty w kierownicę, zniknął na rogu Agrikoli i Aleja. „Wanderer”, ostatnia deska ratunku, grzmiał na rogu. Kajtek rzucał się za kierownicą, jakby brał się z nią za bary. Kastor i Polluks już byli przy nim. Dobiegł go krzyk, w którym najwięcej było błagania.

— Zak, Zak...

Spojrzał. Oblepiony krwią Nemo zwał się na asfalcie. Głos był charkotem już dalekim.

— Dobij, dobij...

Nowa, świetlista seria pocisków oświetliła cień pod kasztanami.

Broń też żyje, myśli Zak, pochylając się nad Nemo, gdy my umieramy...

— Dobij Zak, dobij! dyszał asfalt.

Noc nie chciała zapadać. Zak przyklekła, podsunął ręce pod nogi i piersi Nemo a potem, zataczając się, powstał. Przed oczyma gości się niebo i ziemia. Ulica, drzewa i „Wanderer”, do którego trzeba było dojechać, były falą mgły, po której można było tylko brodzić. Chwytając się i szepcząc bezradne słowa, szedł jak błędzący w mroku ku „Wandererowi”. Czuł wyraźnie krew Nemo, spływającą na piersi. Gdy dobiegali do maszyny, Nemo zwiślał bezradnie. Jeszcze słał się przy otwartych drzwiczkach, obrzucał się do tyłu.

Zewsząd wytryskiwały sylwetki esesowców. Wybuchy granatów były na

szczęście za dalekie. Sławomir jeszcze klęczał i metodycznie, starannie ubezpieczał ogniem. Ledwo wczolgał się do środka, Kajtek rzucił maszynę do przodu. Grzmot jeden, drugi. Wypadówka jak szalona wypadła w Aleje, zięjąc ogniem i dymem. Sławomir jeszcze klęczał. A potem nagłym, kocim ruchem rzucił się za „Wandererem“ i przyległ do tyłu wozu. Zjeżdżali z jękiem opon wdół. Gdy mijali mostek, gdzieś z boku wypadła nowa, zabójcza seria. I dopadła. Na wargi Sławomira wypełzł leniwy uśmiech. Mógł on mówić o spełnieniu pragnień. Ciało jeszcze drgało chwilę a potem z rozłożonymi rękoma zastygł aż do kopnięć rozwścieczonych esesowców. „Wan-

derer“ na pełnym gazie spadał wdół. Na rogu Husarskiej, spod koszar szwoleżarów trysnął nowy słup ognia i dymu. Kajtek znieruchomiał. Przestrzelona opona wybuchła jak wystrzał. Tuż za nią zakrzuszył się i zgasł motor. Reszta wściekłej serii gruchotała karoserię. Kajtek rzucił się w tył, jakby chcąc odwrócić idący, nieubłagany los. Napróżno. „Wanderer“ stawał. W powietrzu zagwizdał granat, a potem z nad maski wyrósł słup ognia a potężny wybuch rzucił ciała na ziemię. Nemo jęczał, zrzucony z siedzenia. Nowa, potężniejsza eksplozja, dysząca śmiercią, wprost w twarz a tuż za nią zmienne wstęgi płomieni, rzucające się na karoserię. Stali w ogniu. Kajtek ca-

łym ciałem rzucił się na wklęsnięte drzwiczki. Ustąpiły. Za nim wypadł Lampart i Żak. Z ognikami strażaków na oczach biegli ku Czerniakowskiej. A potem instynktownie przystanęli i spojrzeli wtył. Tam tylko czerwieńiała w ogniu postać Kastora. Wrastała w niebo i płomień groźna i nieruchoma. Kastor miał zlekka pochylony ku przodowi, jakby zbolały tułów. Strzelał ze Stena. Już ogień ogarniał włosy. Ubranie tliło się i żagwiło. Inni wypęzli z ognia i jęcząc, albo przeciągle pacząc z bólu, konali. Kastor strzelał jak automat. Wtedy zrozumieli i chwiejni, na moment zawahali się w sercach i ramionach. W tyle, w krót-

kich, urywanych seriach, krzyżowany przez płomień i pociski, dogasał Kastor, osłaniając ich ogniem.

— Bracie... wyszeptał Żak. Był błądy, jak papier i chwiał się na nogach, — bracie, zatoczył się... ja z tobą. Szedł spowrotem. Spojrzeli na siebie i przemocą wzięli go pod ręce. Gdy ślaniając się, pelzli, czepiając się murów jak w oparach, z tyłu gonił ich głos Kastorowego Stena. Spojrzeli znów niemo i ukradkiem wtył. Wybuchły granaty. Kastor płonął jak pochodnia.

...Przed nimi u wylotu ulicy było ciągle słońce.

Jerzy Chram-Piórkowski

Życie gospodarcze

Z końcem listopada ukazało się pierwsze czasopismo ekonomiczne p. t. „Wiadomości Gospodarcze“, organ Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie i Naczelnej Rady Zrzeszeń Kupieckich.

W naczelnym artykule prezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie p. Mieczysław Hartwig określa pozycję samorządu gospodarczego w nowej rzeczywistości gospodarczej w sposób następujący:

„Samorząd gospodarczy w Polsce — a więc to wszystko, to wyrasta z wolnej inicjatywy prywatnej jednostek — pojął odrazu, że nowy układ sił w Europie, oraz potrzeby, jakie stawia życie w naszej epoce, wymagają koncentracji gospodarczej, planowości w skali państwowej oraz daleko idącej synchronizacji poszczególnych procesów gospodarczych. Je dnocześnie wszakże czynniki samorządu gospodarczego zdają sobie z tego sprawę, że najściślejsze zespolenie gospodarcze Państwa nie wyklucza i wykluczyć nie może, działania wolnej inicjatywy prywatnej na odcinku handlu oraz przemysłu, pozbawionego charakteru kluczowości. Przedstawione przez samorząd gospodarczy tezy tej właśnie treści, zostały przez Rząd sformułowane“.

Powyższe sformułowanie jest dowodem, że przedstawiciele t. zw. sektora prywatnego (termin użyty przez C. Bobrowskiego) rozumieją konieczność dostosowania gospodarki indywidualnej do przemian, jakie zaszły w nowoczesnym życiu gospodarczym.

Z drugiej strony przedstawiciele Rządu niejednokrotnie składali oświadczenia, przyznające inicjatywę prywatnej w nowym ustroju gospodarczym pełne prawo obywatelstwa. Np. w dniu 4 maja r. b. na posiedzeniu KRN. min. Minc powiedział:

„Nowa Polska, to Polska bez skartelizowanego kapitału — podkreślamy, bez skartelizowanego kapitału, bowiem element gospodarki indywidualnej średniej i drobnokapitałowej posiada u nas zapewnione pole działania i perspektywę rozwoju“. „Państwo nie pretenduje do tego, aby rządzić bezpośrednio drobnym i średnim przemysłem, rzemiosłem czy olbrzymią większością handlu“. A następnie min. Minc domaga się, „aby jak najprędzej drobne i średnie zakłady przemysłowe wyszły z pod kompetencji zjednoczeń o charakterze ogólnopństwowym i zostały przekazane ich dawnym właścicielom, bądź też o ile są bezpańskie, na warunkach dzierżawy spółdzielczości, względnie inicjatywie prywatnej“.

Również analogiczne stanowisko zajmują wszystkie stronnictwa polityczne w swoich programowych deklaracjach.

Wobec powyższych enuncjacji wydawałoby się, że inicjatywa prywatna, mając określony teren działania, nie będzie w swoim rozwoju natrafiać na przeszkody. Niestety, rzeczywistość przedstawia się inaczej.

Na skutek braku konkretnej definicji pojęcia „kluczowości“, a zarazem oddawna zakorzenionych w naszym aparacie biurokratycznym tendencji etatystycznych, panuje niezwykła pochopność w upaństwowianiu względnie w poddawaniu pod bezpośredni nadzór państwowy (braku dotychczas aktu ustawodawczego o upaństwowianiu) szeregu przedsiębiorstw nie mających w żadnym razie charakteru kluczowego. Naprzykład na Pomorzu upaństwowiono przedsiębiorstwa wikliniarskie, trudniące się wy-

Inicjatywa prywatna

roblem koszyków. Również objęto akcją upaństwowiania, względnie uspołeczniania takie przedsiębiorstwa, jak cukrownie, gorzelnie, browary, płatkarnie, przetwórnictwo mięsne i t. p. W ogólności wyłania się zagadnienie, czy o deprytywacji decyduje tylko kryterium „kluczowości“, czy również wielkość warsztatu, a jeśli tak, to jakie kryteria będą podstawą do zaliczenia danego przedsiębiorstwa do kategorii średnich, a więc niepodlegających upaństwowianiu. Wydaje się, że sama ilość robotników nie może stanowić kryterium decydującego. Dlaczego by np. fabryka szcetek lub naczyń kuchennych, zatrudniająca stu robotników, musiała być koniecznym przedsięwzięciem państwowym.

Również na odcinku handlu akcja uspołeczniania jest tak intensywna, że stawia pod znakiem zapytania oświadczenie Ministra Minc o „perspektywach rozwoju“ dla „olbrzymiej większości handlu“.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest wytworzenie się atmosfery niepewności w której znajduje się bardzo wiele przedsiębiorstw prywatnych. W takich warunkach inicjatywa prywatna nie wykorzystuje oczywiście swoich wszystkich możliwości, a ostatecznym efektem jest marnotrawstwo olbrzymich sił gospodarczych.

Zagadnienie nacjonalizacji (pojęcie szersze od pojęcia upaństwowienia), będące podstawowym zagadnieniem gospodarczym Polski, winno być rozwiązane przez Parlament. Do czasu jego ukonstytuowania się nie powinno stwarzać się faktów dokonanych choćby na drodze dekretowania. Natomiast byłoby rzeczą wskazaną przedyskutowanie obecnie powyższego zagadnienia na łamach prasy wszystkich ugrupowań politycznych. Wyniki takiej dyskusji mogłyby stać się podstawą dla przyszłych decyzji parlamentu.

Międzynarodowa kronika gospodarczą

ILE WYNOŚY OBECNIE ZADŁUŻENIE NA GŁOWE MIESZKAŃCA W RÓŻNYCH KRAJACH?

„La Semaine Economique et Financiere“ podaje na ten temat następujące ciekawe zestawienia:

	(franki francuskie)
Szwecja	15.500
Szwajcaria	19.400
Belgia	30.500
Francja	38.000
Holandia	39.000
Stany Zjednoczone	88.500
Wielka Brytania	88.700

Powyższe dane nabierają oczywiście pełnego znaczenia dopiero po uwzględnieniu tego rodzaju czynników, jak dochód narodowy, ciężary publiczne i t. d. Pismo oblicza, że podczas wojny przeciętny dochód roczny Francuza wynosił 50.000 franków, Anglika 150.000 fr., a Amerykanina 250.000 fr.

UPAŃSTWOWIENIE BANKU ANGIELSKIEGO
Na 17.000 akcjonariuszy Banku (kapitał akcyjny wynosi od 1816 r. bez zmiany 14.553.000 funtów szterlingów) tylko 10 zaprotestowało przeciw upaństwowianiu.

STANY ZJEDNOCZONE PRZED PROBLEMEM REKONWERSJI

W miesięczniku „La Revue Economique et Sociale“ prof. Uniwersytetu w Grenoble, Robert Mosse, omawia zagadnienia, przed którymi stoją obecnie Stany Zjednoczone w związku z koniecznością przedstawienia swej gospodarki do wojennej na pokojową. Dyskusja nad nimi toczy się nie od dzisiaj, w istocie została zapoczątkowana równocześnie z przystąpieniem U. S. A. do wojny, budząc niejednokrotnie zgorznienie w opinii krajów sprzymierzonych, reprezentującej stanowisko, że pierwszym obowiązkiem jest zapewnienie zwycięstwa, a później dopiero będzie pora na rozpatrywanie problemów powojennych. Z drugiej strony, pamiętając o straszliwych następstwach wielkiej depresji gospodarczej po 1929 r., trudno się Amerykanom dziwić, że strach przed jej nawrotem przerodził się w prawdziwą obsesję i że widmo bezrobocia z chwilą masowej demobilizacji nie przedstawiało ciężaru nad krajem. Jakby nie było nie ulega wątpliwości, że wysiłek, włożony w ich zbadanie oraz w przygotowanie środków zaradczych, wyda owoce w obecnym okresie przejściowym.

O rozmiarach problemu rekonwersji najlepiej świadczy cyfra. W 1939 r. wartość całej produkcji rocznej U. S. A. oceniano na 89 miliardów dolarów, przyjmując za podstawę ceny z 1934 r. W roku 1944 wartość całej produkcji rocznej, obliczona na tej samej podstawie, wyniosła 157 miliardów, w tym 68 miliardów produkcji wojennej, czyli, że produkcja na potrzeby cywilne pozostała, jeśli chodzi o wartość, bez zmiany (89 miliardów). Wprawdzie nastąpiło ograniczenie wytwórczości pewnych dóbr (np. samochodów), wyrównano jednak wzrostem w innych dziedzinach. Jeśli chodzi o zraco-

nowanie spożycia, to powód tkwił nie tyle w zmniejszeniu produkcji, co w zwiększeniu popytu. Ogółem biorąc, można powiedzieć, że Ameryka sfinansowała wojnę wzrostem wydajności, osiągniętym dzięki zmobilizowaniu wszystkich środków produkcji i ulepszeniom technicznym.

Z chwilą odniesienia zwycięstwa połowa produkcji amerykańskiej straciła uzasadnienie. Przed gospodarką amerykańską pojawiło się zagadnienie: jeśli można było w czasie wojny doprowadzić produkcję do 160 miliardów dolarów, dlaczego nie utrzymać jej na tym samym poziomie w okresie pokoju, fabrykując zamiast czołgów ubrania, buty, auta, czy też budując domy? Rekonwersja nie sprostawa się jedynie do zmiany technicznej strony produkcji. Jest zadanie dwójakie: wykorzystać najbardziej celowo istniejące możliwości produkcyjne i utrzymać wydajność w okresie pokoju na poziomie z czasu wojny, a nawet ją podwyższyć. By te zadanie zrealizować, rząd amerykański ustali następujące 3 zasady:

1. Działać zdecydowanie.

2. Oprzeć się na inicjatywie prywatnej, zgodnie z tradycją amerykańską.

3. Podjąć środki, celem przeciwdziałania nieunikniomym ujemnym następstwom rekonwersji.

1. Nazajutrz po kapitulacji Japonii Ministerstwo Wojny rozwiązało 83.000 kontraktów na 17,5 miliardów, a Ministerstwo Marynarki 50.000 kontraktów na 7 miliardów zgodnie zresztą z klauzulami odnośnych umów. Masowe zwalnianie robotników z dnia na dzień, które się z tym łączy, jest w oczach Europejczyka zarządzeniem brutalnym, dla Amerykanin jednak swoboda zmiany stosunku pracy jest objawem naturalnym, kompenzowanym zresztą wyższym niż w Europie, standardem życiowym. Pozatym umysłowość amerykańska cechuje raczej skłonność do radykalnych, chirurgicznych cięć, niż do kompromisowych półśrodków.

2. Zarządzenia wojenne, uzależniające zmiany w zatrudnieniu sił roboczych, przedstawiających istotne znaczenie dla wysiłku wojennego od aprobaty rządu zostały natychmiast uchylone, podobnie jak ograniczenia w używaniu szeregu surowców dla różnych kategorii wytwórczości. Również ograniczenia spożycia zostały zniesione, bądź będą zniesione w najbliższej przyszłości. Niemniej jednak ten nawrót do swobody produkcji i konsumpcji podlega licznym ograniczeniom, wykazującym cechy gospodarki kierowanej.

3. Ograniczenia te zacierają wszystkie do jednego celu, mianowicie do zapewnienia pracy dla wszystkich. Łączy się to ze strukturą społeczną Ameryki, której istotnym znamięm jest przewaga ludzi, żyjących z płacy, przy niewielkim odsetku niezależnych gospodarzo, jak rzemieślników, sklepikarzy, czy wojsnych zawodów. W 10 dni po kapitulacji Japo-

W ten sposób podchodzi się do omawianego problemu w krajach zachodnioeuropejskich, w których ugrupowania postępowe (socjaliści, laburzyści, stronnictwo republikańsko-ludowe) coraz bardziej konkretyzują, jakie odcinki życia gospodarczego mają ulec nacjonalizacji. Zarówno w Anglii, jak i we Francji, ogólnie rzecz ujmując, przewiduje się nacjonalizację następujących dziedzin: 1. kopalnictwa, 2. przedsiębiorstw użyteczności publicznej, 3. finansów.

Z uwagi na zasadnicze odrębności stanu gospodarczego Polski akcja nacjonalizacji w naszym kraju nie może rozwijać się po linii ślepego naśladownictwa krajów takich, jak Anglia czy Francja, tym niemniej przy rozwiązywaniu powyższego problemu byłoby wskazane zastosowanie pewnych analogii zarówno co do formy, jak i zasad.

K. Pytel

nii 2.700.000 ludzi straciło swe zatrudnienie wojenne, w tym 900.000 powróciło jednak do zawodów cywilnych. Przewiduje się, że z wiosną 1946 r. ilość bezrobotnych wrośnie conajmniej do 8 milionów. Oczekuje się od rządu środków zaradczych, sięgających do samego źródła zła, przy czym metody tego rodzaju, jak ubezpieczenia od bezrobocia, czy roboty publiczne, problematyczne pod względem użyteczności, nie cieszą się popularnością. Najważniejszym środkiem, należącym już do dziedziny gospodarki planowej, jest kontrolowanie siły kupa, w celu utrzymania równowagi między procesami wytwórczości a nabywania. Gospodarcze amerykańskiej grożą dwa niebezpieczeństwa: inflacja, jeśli chodzi o bezpośrednią przyszłość, na dalszą metę zaś deflacja.

Do najbliższej wiosny przed zrealizowaniem rekonwersji produkcja pozostanie prawdopodobnie w tyle za popytem ze strony publiczności. W czasie wojny równowaga była utrzymywana dzięki silnemu opodatkowaniu z jednej strony, oraz znacznym oszczędnościom z drugiej strony, realizowanym w formie subskrybowania pożyczek wojennych. Sumy indywidualnych oszczędności wynoszą obecnie ponad 100 miliardów dolarów na potrzeby cywilne w 1914 r. Wprowadzenie tych oszczędności w obieg skompensuje z nadwyżką spadek siły kupna z powodu bezrobocia, gdyż 8 milionów bezrobotnych, licząc przeciętny zarobek roczny na 3000 dolarów (szacunek raczej nadmierny) reprezentuje spadek siły nabywczej na kwotę 24 miliardów dolarów. Jeszcze groźniej przedstawia się niebezpieczeństwo inflacji. Rolnictwo i przemysł będą masowo produkować i Stany Zjednoczone znów staną przed problemem zapewnienia sobie rynków zbytu. Wszystko wskazuje na to, że wbrew głośnym wciąż hasłom nawrotu do swobodnej inicjatywy prywatnej rząd amerykański w swym dążeniu do zabezpieczenia pełnego zatrudnienia i stabilizacji ekonomicznej nie będzie mógł zrezygnować z pewnych metod gospodarki planowej. W pierwszym rzędzie należy się liczyć ze wzmocnieniem wewnętrznej siły kupna przez wydatki budżetowe, chociażby nawet drogą deficytu.

STANOWISKO OPINII AMERYKAŃSKIEJ W SPRAWIE KREDYTÓW ZAGRANICZNYCH

Znany amerykański instytut badania opinii publicznej Gaelupa w Chicago przeprowadził ostatnio szereg ankiet, między innymi na temat kredytów dla zagranicy. Charakterystyczne są odpowiedzi na dwa pytania:

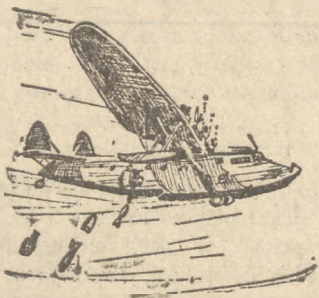
1. Czy Wielka Brytania powinna zapłacić za dostawy, otrzymane na podstawie układów dzierżawno-pożyczkowych?
tak — 83%,
nie — 12%.

2. Czy należy udzielić Z. S. R. R. i Wielkiej Brytanii kredytów?
tak — 27%,
nie — 60%.

SZEROKI HORYZONT

Pamiętki

Ludzie mają rozmaite „koniki“. Jeden kolekcjonuje znaczki pocztowe, inny guziki, niektórzy zaś zbierają pamiętki ze swych podróży. Niekiedy będzie to piękny rękiczek z napisem „Hotel Ritz — Pułtusk“, czasem wzorzysty obrus z wyhaftowanym „Die Morgenstunde hat Gold im Munde“, lub trzeci tom Mitu XX Wieku, Alfreda Rosenberga. Są jednak i zbieracze pamiętek bardziej niebezpiecznych.



O jednym z nich pisze ostatnio jeden z amerykańskich reporterów. Nazywa się ów kolekcjoner Mac Goosney i jest kapitanem saperów w korpusie desantowym marynarki Stanów Zjednoczonych. Jego namiętnością jest rozbiórka niewypałów. Kiedy po wylądowaniu na wyspie Bougainville, Amerykanie dostali się pod huraganowy ostrzał japońskiej artylerii, kapitan był w swoim żywiole. Siedział wówczas w wykopanym dole i nasłuchiwał wprawnym uchem. Kiedy tylko pocisk uderzał o ziemię nie wybuchając, śpieszył nie bacząc na niebezpieczeństwo, by go unieszkodliwić. Był wtedy szczęśliwy — ta praca mu odpowiadała.

Ale wszystko to piękne przemija i tak w końcu Japończyków odrzucono, ostrzeliwanie ustało i raj się skończył.

Nasz kapitan tak długo skarżył się na bezczynność, aż go przeniesiono na Filipiny. Tam, było znacznie weselej. Po niedługim czasie Mac Goosney zebrał sobie w namiocie w którym spał, piękną kolekcję granatów, min, pocisków przeciwczołgowych i innych pamiętek, którymi można by wyprawić na tamten świat nie duże miasteczko. Przy sobie natomiast nosił z pietyzmem rozmaite drobiazgi, jak zapalniczki, lonty, granaty ręczne i małe puszki z dynamitem. Obchodzono go przeto z należytym szacunkiem z daleka, kiedy szedł sobie drogą. Żołnierze rozstępowali się, dając mu natychmiast przejście. Popularnie nazywano go „zwarzianym saperem“.

Ale kapitan nie spoczął na laurach i był niezmordowany w powiększaniu swej kolekcji. Udał się specjalnie na północny cypel wyspy Luzon po ciekawsze okazy. Życie było piękne — nagromadził tam sporo eksponatów — i uzyskał samolot na przewóz ich do swojej bazy. A tu dopiero nastąpił dramat. Na skutek wyczerpania paliwa samolot szykował się do przymusowego lądowania i pilot zarządził wyrzucenie z pokładu całego bagażu, dla zmniejszenia ciężaru płatowca. Na pierwszy ogień poszły zbiory kapitana, który skakał do oczu wykonującym wyrzós lotnikom, wołając: „Niszczycie cały dorobek mej pracy“.



Na lotnisku wysiadł zupełnie złamany, w stanie całkowitej prostracji. „Los dotknął mnie ciężko“ — powiedział.

Obecnie, jak donosi sprawozdawca, kapitan Mac Goosney stara się nadrobić poniesione straty. Byle tylko nie postarał się o bombę atomową do swej kolekcji, a wierzymy, że wszystko będzie dobrze.

Czy nowe Orłątko?

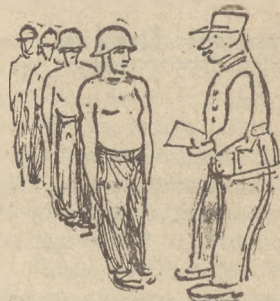
Wywiad amerykański zainteresował się znalezionymi we Frankfurcie nad Menem albumami fotograficznymi, stanowiącymi niegdyś własność Ewy Braun. Zwrócono mianowicie uwagę, na szereg fotografii, na których obok Hitlera i jego Walkirii widać dwoje dzieci, gdyż zaistniało podejrzenie, że może to być potomstwo Fuehrera. Przeprowadzone śledztwo wykazało jednak, że chodzi tu o dwie córki siostry Evy — niejakiej Frau Schneider, która razem z nią i trzecią siostrą, Margaretą Geglein, zamieszkiwała w Berchtesgaden. Również i oburzony ojciec Evy — Fritz Braun, kategorycznie zaprzeczył, jakoby Eva miała kiedykolwiek dziecko.

Tym samym zostało zażegnane utworzenie nowej legendy. Przy odrobinie bujnej wyobraźni można uzmysłowić sobie jej dalszy rozwój. Co za wspaniały temat do sztuki teatralnej dla nowego Rostanda, lub jeszcze lepiej, co za scena-

riusz dla amerykańskiego filmu. Blond dziewczęta, córki Fuehrera, dorastają w domu rodziny Army Grese, gdzie otrzymują staranne wychowanie. W 1960 roku zwołują Reichsparteitag w Norymburdze, który w jednogłośnie rezolucji sprzeciwia się dalszemu kontynuowaniu procesu t. zw. przestępców wojennych w tym samym mieście, apelując do opinii świata o zapobieżenie dalszemu zakłócaniu spokoju panu Frankowi, Ribbentropowi i innym, czeigodnym starcom. Równocześnie Reichsparteitag potępia zbrodniczą działalność Rosjan, Polaków, Czechów, Serbów i innych półdzikich plemion słowiańskich na wschodniej i południowej rubieży Rzeszy, rzucając w związku z tym hasło: „Margaryna albo bomba atomowa“ oraz organizując nową piątą kolumnę. Dalszy ciąg zostawiamy fantazji naszych czytelników, zwracając ich uwagę na cenne źródła, zawarte w dziejach NSDAP od 1923 r.

Nowe wydanie „Afrika Korps“

Francuska Legia Cudzoziemska przystąpiła ponownie do rekrutacji chętnych do służby w Afryce. Jak dotąd, największej entuzjazmu do wojennego rzemiosła pod trójkolorowym sztandarem okazują... Niemcy. Francuzi jednak zapewniają uroczyście, że zwrócono specjalną uwagę na zapobieżenie infiltracji elementów hitlerowskich. Zapewnienie to, jest bardzo



na czasie, gdyż nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż po pierwszej wojnie światowej, największe szumowiny z „Freikorps-u“, kiedy stwierdziły z żalem, że sezonowe państwo — Polska, jednak dalej istnieje i że wybryki na jego granicy zachodniej są ryzykownym przedsięwzięciem, wylądowały właśnie w szeregach Legii. W rezultacie, kiedy w 1940 roku, antyhitlerowscy uchodźcy z Niemiec, którzy służyli w armii francuskiej, zostali przymusowo wcieleni do Legii Cudzoziemskiej, to siostrzeniec zamordowanego przez załóżki SS ministra — demokracji Rathenau'a stwierdził, że jego sierżantem, był właśnie jeden z morderców.

Sprawa jest jeszcze niezdecydowana. W każdym razie donoszą z okupowanego przez Francuzów Tyrolu, że akcja werbunkowa osiąga tam znaczne sukcesy. Jak podają brytyjscy sprawozdawcy, głównym powodem popularności tego obojętnego werbunku, jest przeludnienie tej austriackiej prowincji „...bezdolnymi i bezradnymi uchodźcami z okęgów zabranych przez Polskę“. Innymi słowy volksteutsche naszego chowu, którzy idąc za głosem rozsądku i nie wierząc swym dobrze poinformowanym propagandzistom (vide: Krakauer Zeitung, 15.I. 1945 r.: „Die Weichselfront ist nicht zu brechen“), przenieśli na czas swe lary i piernaty, w bardziej łagodny klimat, obecnie służyć będą galickiemu kogutowi, jak doniedawna hitlerowskiej „wronie na rowerze“.

Biedni Arabowie! Jako niearyjczycy, a nawet mówiąc brutalnie, semici, przeżyją napewno smutne chwile z zahartowanymi w bojach z warszawskimi przekupkami, bohaterami. Już oni im pokażą, jak się zabezpiecza mienie ruchome, na czym polega zasada powiernictwa, oraz jak się przeciwdziała zgubnym objawom polnische — a raczej w tym wypadku — arabische Wirtschaft.

Biedni Francuzi! Te farbowane lisy,



już po pierwszej burzy z ulewnym deszczem, puszcza prawdziwą, brunatną farbę. Na widok nowozaciężnych legionistów, napewno wyprostowana dłoń, tak zwana „ręka Fatmy“, która jest wyhaftowaną na wszystkich sztandarach Legii Cudzoziemskiej, zaciśnie się w kułak z oburzenia.

Dyplomacja stosowana

Wiadomo powszechnie, że polityczne uzdolnienia dyplomatów, nie stanowią jeszcze o ich rzeczywistych kwalifikacjach. Można bowiem władać siedmioma językami, ale w żadnym z nich nie mieć nic ciekawego do powiedzenia. Można opanować technikę gry politycznej, a przy tym źle tańczyć walca w lewo, co w niektórych krajach, może być brane

partii komunistycznej) i generałami Chou-En-Lai, Chu-Czi, oraz Yeh-Choen-Yingiem.



Mr. Hurley zabrał się z zapalem do żmudnego dzieła — pomyślcie sami, jak zdobyć serce Chińczyka? Najpierw kazał przetłumaczyć dla użytku swych rozmówców, najlepsze dowcipy ze swego żelaznego repertuaru. Ponieważ jednak amerykański „humor“ nie wywarł większego wrażenia na żółtoliczych politykach,



więc trzeba było szukać innych sposobów dyplomatycznej konkiety. Ambasadador wpadł na dobry pomysł, którym ujął serca zebranych. Oto, podczas wielkiego bankietu, po toastach wydawał okrzyk wojenny indyjskiego plemienia, które, jak podaliśmy, prowadził w swoim czasie przed groźne oblicze Temidy. Jego „Yahoo!“ rozlegało się na całej sali i znalazło ogólny poklask.

Naturalnie, tej recepty na powodzenie w dyplomacji nie należy uogólniać. Wydawanie okrzyków wojennych naprzykład na konferencji pokojowej, mogłoby zostać źle zrozumiane, zwłaszcza w epoce bomby atomowej. Poza tym nie każdemu dane jest być radcą prawnym Indian i co za tym idzie, mieć własny, oryginalny repertuar.



bardzo za złe, jako celowa demonstracja. Można być biegłym w historii państwa, w którym się jest akredytowanym, a jednocześnie zapomnieć o imieninach pani viceministrowej. Można... ale zresztą, co tu dużo mówić: dyplomata musi być popularny. Takiego przynajmniej zdania jest były ambasador Stanów Zjednoczonych w Chinach, Patrick Jay Hurley. Jego praktyka w tym zawodzie jest coprawda świeżej daty. Ma za sobą



natomiast szereg pięknych osiągnięć na innych polach pracy, jako że był już górnikiem, cow-boyem oraz adwokatem-doradcą plemienia Indian Choctaros. I oto przed rokiem, poleciał do stolicy Chin komunistycznych — Yenanu, by poprzeć swym autorytetem, prowadzone wówczas między komunistami i Czang-Kai-Sze-kiem rozmowy. Chodziło specjalnie o wytworzenie przyjaznego klimatu w rokowaniach z Mao-Tse-Tungiem (sekretarz

**Wszystkim sympatykom Tygodnika „Dziś i Jutro“
życzenia spokojnych Świąt i dobrego Nowego Roku
składa Redakcja**

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia“ Widok 24. B-0361

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska